

ożać gwałtem  
ciśnięta

Islandia – począć  
demokracji

Palikot  
brzemienny lewicą

Pierdołę,  
nie rodzę

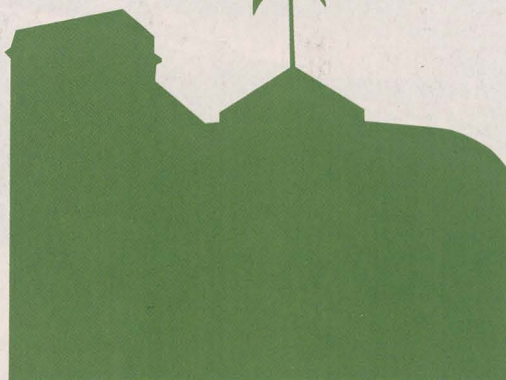
**PRZE  
KROJ**

NR 7 (176) / 13 LUTEGO 2012 / CENA 3,99 ZŁ

[WWW.PRZEKROJ.PL](http://WWW.PRZEKROJ.PL)

w tym 8% VAT

**PALIMY  
TRAWĘ  
POD SEJMEM**



ISSN 0033-2488



# Parkiet Challenge 2012

VII edycja Mistrzostw Polski Inwestorów Giełdowych



## Do wygrania 6 samochodów

I miejsce – Volkswagen CC, II miejsce – Polo Cross, III miejsce – up!

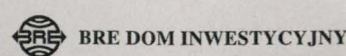
Zapisy do 29.02.2012, Finał: 30.04.2012

regulamin i rejestracja na [www.mistrzostwa.parkiet.com](http://www.mistrzostwa.parkiet.com)

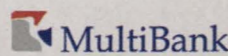
Organizator



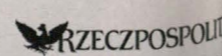
Partner strategiczny



Partnerzy



Patron medialny



## PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Eliś

### "Przekrój" w sieci

Stasiek Brontozaur zgarbił się ciężko, jakby skurczył. Nagła utrata wiary w jakiś elementarny ład filozofii Wszechświata była niczym drosz w brzuch. Brakowało mu tlenku, podłoga uciekała spod nóg. Nigdy dotąd Stasiek nie miał tak dojmującego wrażenia, że jest na Ziemi obcą formą życia. Wiedział, że człowieki są dziwne, ale do dziś ani razu nie czuł się równie bezradny w swym niezrozumieniu tych osobliwych stworzonek. Zerknął lekliwie na ekran komputera. Anons, który napawał go taką grozą, wciąż tam był: „Anna Mucha, zwyciężczyni rankingu najbardziej medialnych ciąż w Polsce, już zapowiada kolejnego, jeszcze bardziej medialnego potomka”. Stasiek nic z tego nie pojmował. Z rozpaczą nadzieją na okrucieństwo swojskości, coś, co go wyrwie z kosmosu, czytał dalej: „Dopóki jednak tych obietnic nie zrealizuje, mediom muszą wystarczyć atrakcje dostarczane przez inne celebrytki w stanie błogosławionym”. Stasiek na te słowa niemal zdechł był męcznie. Drząc niczym sparaliżowana małpka wpatrująca się w węża, w chorobliwej fascynacji śledził układ tarota z ezoterycznych dlań pojęć, emocji i sensów. „Cięża Katarzyny Glini, choć jest tematem dyskusyjnym już od czerwca, wciąż cieszy się popularnością, narastającą stopniowo do grudnia. Styczeń przyniesie jednak spory spadek liczby publikacji – może się to wiązać z wysypem nowych ciąż w show-biznesie”. Bożeszty mój! Cięża Romy Gąsiorowskiej jest już na finiszu, lecz wciąż nie stała się sensacją dla mediów. Pociągający dla aktorki powinien być fakt, że o jej dokonaniach zawodowych wciąż pisze się sporo”. Stasiek też miał nadzieję, że ją to pocieszy. Sam był niepokieszony. I coraz bardziej ogłupiał. Był, nie szczęśliwy, na finiszu. Więcej o Staśku na Twitterze, FB, G+, [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl), w tabelach edycji „Przekroju”.



Listy ślij tu: [redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)

# W TYM TYGODNIU

## NIE PISZEMY O TYM...

... jak prezes PiS, wspominając swoje lektury IPN-owskie, zatęsknił do skuteczności metod pracy funkcjonariuszy SB, kiedy komentując wszystko, co można użyć przeciw PO, postanowił przeanalizować pracę tzw. detektywa Rutkowskiego. Kiedyś wszyscy Polacy byli lekarzami, dzisiaj są detektywami.  
 ... że po zwolnieniu wszystkich publicystów z redakcji pewnego dziennika robota fotografów szła normalnie i bez zakłóceń, ponieważ to jednak fotoreporterów zwolniono naprawdę, a różnicy w pracy nie zauważył ich kolega publicysta, skądinąd Michał. To zjawisko nazywa się postsolidarność. Post, post. Aksamitny konserwatyzm.  
 ... jak w którymś z wywiadów książę Lubomirski opowiada o trudach królowania. Bo mamy nadzieję,

że obecnych trudów nastarczy nam wszystkim, a tamte mamy już na szczęście za sobą daleko i nieodwracalnie. A poza tym książkę nie zna osobiście króla Norwegii, chociaż studiowali na tej samej uczelni, bo ten ostatni był skromny i miły.  
 ... że pan Tadeusz Rydzki nie ma nawet swojego łóżka, gdyż są granice ubóstwa, których nawet my nie jesteśmy w stanie zaakceptować i pogodzić się z takim radykalizmem.  
 ... że nie wiadomo, kto wybrał drużyny do rozegrania meczu o superpuchar, którego nierozegranie pograża narodową nadzieję na posiadanie narodowego stadionu.  
 ... że Katarzyna Kolenda-Zaleska, ku oburzeniu i potępieniu Rady Etyki Mediów (ciało cyfrowe, całkiem za ACTA), okazała się człowiekiem,

czującą, posiadającą i umiejącą okazać emocje osobą. Roboty prezenterkie, z imprimatur REM, mają być produkowane w dawnych zakładach FSO. Prototypy w różnych kolorach już zjeżdżają z taśmy i kierują się w stronę wybranych stacji telewizyjnych.  
 ... że trwają konsultacje społeczne w kwestii sypania soli na zimowe ulice miast. Bo już wiosną mają się zakończyć.  
 ... że organizatorem pogrzebu Wisławy Szymborskiej okazało się Krakowskie Biuro Festiwalowe. W końcu karnawał.  
 ... że Łukasz Warzecha nie założy jednak koszulki z napisem „Nie płakałem po Szymborskiej”, bo zgrozą napetnia nas jednak ta wizja, że jakkolwiek prawdopodobne byłoby, że mógłby zapłakać.

## MAREK RACZKOWSKI



## LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Na walentynki (podstuchane): co jest miłsze od Dnia Zakochanych? Noc Zakochanych.

## PRZED WSZYSTKIM

- 6 Trzy lata temu Islandia jako pierwsza w Europie wpadła w finansową czarną dziurę. Dziś jako pierwsza na świecie buduje demokrację bezpośrednią – pisze Maciej Jarkowicz
- 9 Czarny Piątek – felieton Tomasza Piątki
- 10 Sposób tworzenia umowy ACTA rodzi pytania o przestrzeganie demokratycznych zasad tworzenia prawa w czasach, w których idea państwa suwerena ustępuje społeczeństwu globalnemu – tekst Piotra Wagłowskiego
- 13 Naprzód! – felieton Adama Ostolskiego
- 14 Chcemy móc tak jak nasi koledzy w Unii hodować marihuanę na własny użytek i nie być traktowani jak przestępcy tylko za to, że posiadamy trzy gramy – mówi w rozmowie z Mają Ruzpel Andrzej Dolecki z Wolnych Konopi, współorganizator zapowiadanej na piątek akcji palenia jointów przed Sejmem
- 16 Żeby być silnym krajem, my, Polacy, musimy się wszyscy polubić. Utopia? Oczywiście tak, ale nie da się żyć bez utopii społecznej – z Januszem Palikotem rozmawia Roman Kurkiewicz
- 20 Ostatnio mieliśmy do czynienia z całą serią spektakularnych porażek prokuratury – sprawy skończyły się uniewinnieniem. Na co mogą liczyć niesłusznie pomówieni? Na pewno nie na magiczne słowo na P – tekst Adama Bodnara
- 22 Dlaczego cała Polska wyżywa się na matce małej Magdy z Sosnowca? – odpowiada Hanna Gill-Piątek
- 24 Od tygodnia słyszymy lament nad upadkiem szkolnictwa średniego. Czy jednak rządowe reformy rzeczywiście są niebezpieczne? A może katastrofa już się wydarzyła i musimy podjąć walkę o historię? – zastanawia się Piotr Laskowski
- 26 Interwencja to zły pomysł. Syryjczycy sami powinni wyrównać rachunki z reżimem Asada – wywiad z Magdą Qandil, dziennikarką specjalizującą się w tematyce Bliskiego Wschodu
- 28 Moskwa ratuje Baszara al-Asada nie tylko po to, aby zrobić na złość Zachodowi. Potrzebuje ciepłego morza, które gwarantuje jej tylko Damaszek – pisze Łukasz Wójcik
- 30 Czy mikropożyczki to uniwersalna recepta na wyciągnięcie milionów ludzi z biedy, czy raczej neoliberalna mrzonka o uwolnieniu państwa z odpowiedzialności za ich los? – pyta Agata Młodawska
- 32 Co roku biedne Południe oddaje bogatej Północy ponad trzykrotnie więcej, niż otrzymuje w ramach pomocy rozwojowej. Jean Ziegler w książce „Imperium hańby” demaskuje system odpowiedzialny za głód wycieńczający miliard ludzi – tekst Przemysława Wielgosza
- 35 Z drugiej strony lustra – felieton Anny Grodzkiej

## CYWILIZACJA

- 36 Czy PlayStation Vita, nowa konsola Sony, podbije świat – zastanawia się Olaf Szewczyk
- 38 Żebyś wiedział – jest jezioro pod lodami Antarktydy
- 39 Też pytanie!

## KONIEC Z KULTURĄ

- 40 Czy „Róża” Smarzewskiego to pierwszy polski film o wojennej przemocy wobec kobiet, czy kolejna wersja opowieści o świętości AK – kłóć się Jędrzyk, Zaremba, Piątek i Czarnačka

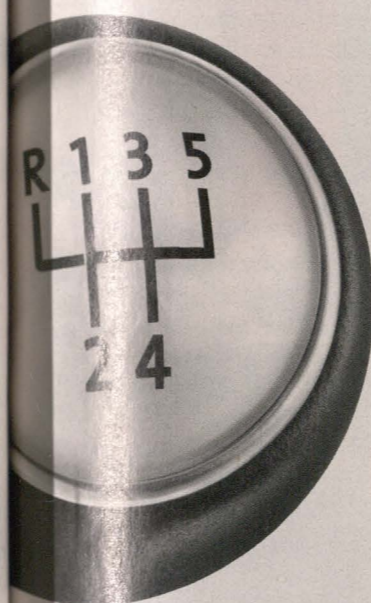
## RECENZJE I ZAPOWIEDZI

- 44 Film: Pietrzak dewastuje „Żelazną Damę”
- 45 Książki: Sendecki twierdzi, że warto czytać Wiedemanna
- 46 Muzyka: Winczewski docenia Air
- 47 Teatr: Wakar pada na kolana przed Budzisz-Krzyżanowską
- 48 Sztuka: Po zdjęciach Pirotte uratowanych z szuflady oprowadza Czarnačka

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 49-50 Rozmaitości z krzyżówką i Lewomyślnie Kurkiewicza
- 3, 4, 22, 39, 50 Raczkowski

## MAREK RACZKOWSKI



Nokia Lumia 800 od 1 zł + VAT

Nokia Lumia 710 od 1 zł + VAT

smartfony w najlepszej cenie na rynku

# zmieniaj do woli usługi w abonamencie

- bezpłatne rozmowy w Orange
- bezpłatne SMS-y w Orange
- Internet w telefonie
- 50% tańsze połączenia za granicę

W Orange dla Firm wiemy, że prowadząc firmę, chcesz korzystać z najlepszych ofert. Dlatego teraz w nowych Planach Korzystnych dla Firm możesz bezpłatnie zmieniać usługi w swoim abonamencie.

wyбір zmienia się z Orange

Aktywuj numer i zyskaj nawet 40 000 losów umożliwiających wygranie biletów na UEFA EURO 2012™.

**PRZEKROJ**  
 ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl  
 REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Piotr Wittek, Maria Swietlik, Weronika Kostyrko, Katarzyna Czarnačka PRZED WSZYSTKIM: wydarzenia@przekroj.pl, Łukasz Wójcik, Agnieszka Fiedorowicz, Joanna Wozniczko-Czeczot, CYWILIZACJA OD ŚRODKA: nauka@przekroj.pl, Olaf Szewczyk; stale współpracują Jacek Wakar, Marcin Sendecki, Karolina Pasternak, Łukasz Drewniak, Sebastian Frackiewicz, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki, Bartek Winczewski, Anna Gromnicka ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracuje Kaliber 45 PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski FOTODYSCJA: foto@przekroj.pl, KOREKTA: Ling Brett PROJEKT GRAFICZNY: Kasper Skirgajło-Krajewski ARCHIWUM: Dominika Bok OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska, Wanda Wójcik, Tomasz Kieras, Tomasz Rojek STRONA INTERNETOWA I IPAD: Marcin Cichoński, Renata Wróbel

**PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”**  
 PRENUMERATA REDAKCYJNA  
 Cena prenumeraty 2012 r.: Roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł  
 Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195  
 PRENUMERATA KOLPORTERSKA  
 oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe  
 PRENUMERATA E-WYDANIA  
 www.egazety.pl  
 PRENUMERATA ZAGRANICZNA  
 Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

**PRZEKROJ PALMY TRAWY**  
 Dostęp: Grazyna Laszka  
 DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA  
 Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl  
 Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótnów w nadesłanych artykułach i listach.

**GREMI GRUPA**  
 WYDAWCA: PRESSPUBLICA SP. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa  
 PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Jakub Maszkowski, Milena Ostłowska  
 BIURO REKLAMY: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09 KIEROWNIK ZESPOŁU SPRZEDAŻY: Filip Weichert – 22 463 01 88 reklamainfo@presspublica.pl druk: RR Donnelley.



Mieszkaniec Rejkiawiku rozdaje niepotrzebne rzeczy



Arctic-Images/CORBIS

# Islandia: demokracja z martwychwstanie

Przed ponad trzema laty Islandia jako pierwsza w Europie wpadła w finansową czarną dziurę. Dziś jako pierwsza na świecie na pobankowych gruzach buduje demokrację bezpośrednią

## MACIEJ JARKOWIEC

W marcu były premier Islandii Geir Haarde, jako pierwszy polityk w historii kraju, będzie sądzony przed Trybunałem Stanu. Odpowie za błędy, które w 2008 r. doprowadziły kraj do finansowej katastrofy. Haarde jest jedynym przywódcą na świecie postawionym przed sądem za kryzys. Jego proces to znak tego, że Islandia po bankowym krachu zdecydowała się na reset systemu. Choć to mało powiedziane: Islandia właśnie tworzy zupełnie nowy system.

### Konstytucja przez Internet

„Tworzenie prawa jest jak produkcja kielbasy: trzeba utrzymać w tajemnicy, co się tam ładuje”. Te słowa byłego ministra spraw wewnętrznych Holandii islandzka poetka i posłanka Birgitta Jónsdóttir cytuje w tekście programowym. Artykuł opublikowany w listopadzie zeszłego roku w „Guardianie” nosi tytuł „Lekcje z Islandii: ludzie biorą władzę”. Jego przesłanie było proste: musimy patrzeć, co ładują do naszej kielbasy. Więcej, powinniśmy wreszcie kielbasę robić sami!

Jednym z pierwszych żądań demonstrantów okupujących plac pod parlamentem w styczniu 2009 r. była rewizja konstytucji. Islandia przez wieki była duńską kolonią. Kiedy w 1944 r. ogłosiła się republiką, przyjęła ledwie zmodyfikowaną ustawę zasadniczą Dani. Nowy parlament zwołał w tej sprawie zgromadzenie narodowe, które na Islandii nie jest posiedzeniem izb parlamentu, tylko spotkaniem tysiąca losowo wskazanych obywateli. Kiedy cały świat ekscytował się chmurą popiołu z islandzkiego wulkanu, wybrani delegaci zjeżdżali do stolicy na dwudniowe obrady. Zdecydowali, że konstytucji nie da się poprawić, trzeba napisać nową. Rozpisano wybory na 25 członków zgromadzenia konstytucyjnego, które – wspólnie z obywatelami – miało tworzyć nową ustawę zasadniczą. Jednym z niewielu warunków dla kandydatów była bezpartyjność. Do wyborów zgłosiły się 522 osoby. Frekwencja w głosowaniu osiągnęła 37 proc. – Biorąc pod uwagę nowatorstwo całego procesu i antykonstytucyjną kampanię opozycji, to przyzwoity wynik – ocenił jeden z wybranych, profesor ekonomii z Uniwersytetu Islandii, Thorvaldur Gylfason.

Prace ruszyły pod koniec 2010 r., kolejne wersje paragrafów poddawano pod otwartą internetową debatę. Co więcej, obrady zgromadzenia były dostępne dla publiczności i transmitowane na żywo w sieci. Członkowie konstytuandy

aktywnie udzielali się na Twitterze, Facebooku i YouTube. Każdy internauta (95 proc. gospodarstw domowych w Islandii – najwięcej na świecie – ma szerokopasmowy dostęp do sieci, dwie trzecie obywateli posiada konto na Facebooku) mógł na bieżąco zgłaszać uwagi i propozycje. Tak powstał projekt, który w zeszłym roku trafił do parlamentu. O jego przyjęciu Islandczycy zdecydują w referendum.

### Garowa rewolucja

Wróćmy do źródeł kryzysu. Islandzkim bankierom udało się zbudować najwspanialszą piramidę finansową świata. Tuż przed jej zawaleniem długi trzech największych banków w kraju prawie dziewięciokrotnie przekraczały jego PKB. Gdyby je rozpiścić na wszystkich obywateli, od niemowląt po staruszków, każdy z nich musiałby oddać 160 tys. euro zagranicznym wierzycielom.

Fundamenty pod piramidę wylał David Oddsson – w latach 1991–2004 premier Islandii, a dziś członek szacownego grona 25 Ludzi Winych Kryzysowi magazynu „Time”. To on pod koniec lat 90. sprywatyzował banki i zaplikował gospodarce deregulację sektora finansowego według sprawdzonej reaganowsko-thatcherowskiej receptury. Banki inwestowały na wszystkich rynkach świata, rozdawały bez opamiętania kredyty w kraju i wabiły setki tysięcy zagranicznych klientów wysokim oprocentowaniem lokat. W ciągu kilku lat z krainy rybaków Islandia przeobraziła się w bankowe eldorado. „Tylko szaleńcy nie chcieli zostać bankierami” – wspominał dla

dziennika „Washington Post” Heimir Hannesson z Uniwersytetu Islandii. „Zdawałeś do college’u, studiowałeś biznes i z dnia na dzień zostawałeś milionerem. To był sen, który na kilka lat stał się dla nas jawą”.

Budzik zadzwonił w drugiej połowie 2008 r., kiedy inwestorzy z całego świata zapukali po wypłaty. Brytyjski premier Gordon Brown ogłosił, że Islandia jest państwem terrorystycznym, dopisując ją do listy najmniejbezpieczniejszych wrogów Zjednoczonego Królestwa, gdzieś między Al-Kaidą a Zimbabwe. Powołując się na antyterrorystyczną ustawę, zablokował aktywa islandzkich banków na Wyspach. Trzy największe z nich posypały się jak domki z kart. Ich dług był tak gigantyczny, że rząd nie miał za co ich ratować. Padły, a korona straciła 70 proc. wartości. Uderzyło to oczywiście w zwykłych Islandczyków, z których większość wzięła w latach boomu tanie walutowe kredyty (często w jenach) na nowy dom, łódź albo land rovera. Inflacja skoczyła do 20 proc., firmy zwalniały pracowników.

Brutalnie wyrwani ze snu obywatele bankowego państwa wyszli na ulicę i zaczęli walić łyżkami w garnki. W styczniu 2009 r. pod naporem całotygodniowego kuchennego łomotu ustąpił rząd. Demonstracje przed budynkiem parlamentu gromadziły 12 tys. ludzi, czyli jedną dziesiątą mieszkańców Rejkiawiku. Konserwatywny premier Geir Haarde, następca Davida Oddssona, został pierwszym przywódcą zmiecionym przez kryzys. Tymczasową władzę przejęła lewicowa koalicja na czele z Jóhanną Sigurðardóttir. W kwietniowych



Birgitta Jónsdóttir, islandzka poetka i aktywistka społeczna, liderka Ruchu

Halldor Kolbeins/AFP/EAST NEWS

→ wyborach lewica umocniła się. W 63-osobowym Althingu (jest najstarszym parlamentem świata, obraduje z małą przerwą od 930 r.) zasiadło też czterech ludzi z radykalnego Ruchu – choć nie ma on przywódcy, jego nieformalną rzeczniką jest wspomniana Birgitta Jónsdóttir. Dwa lata wcześniej z Julianem Assange'em i jego WikiLeaks Jónsdóttir przygotowała pierwszy wielki wyciek – 18-minutowy film pokazujący, jak Amerykanie mordują niewinnych ludzi z krążącego nad Bagdadem helikoptera. To właśnie Ruch i związane z nim pozaparlamentarne organizacje stały się inicjatorami zmian, które przeorały islandzką demokrację.

### Wolna informacja

– Próbuje wymyślić Islandię na nowo – mówi Robert Marshall, poseł współrządzącej z zielonymi socjaldemokracji. Proponowana konstytucja ma rozpoczynać się słowami: „My, naród Islandii, pragniemy stworzyć sprawiedliwe społeczeństwo z równymi szansami dla wszystkich”. Ustawa mówi o naturze jako „fundamencie życia w kraju”, nakłada na państwo i obywateli obowiązek szanowania oraz ochrony środowiska, zapewnia prawo do czystej wody, powietrza i nieskażonej przyrody. Są też zapisy dotyczące dostępu do informacji – władza ma obowiązek ciągłego komunikowania się z ludźmi, między innymi przez upublicznianie wszystkich rządowych dokumentów. Ale konstytucyjne gwarancje w tej ostatniej kwestii nie dla wszystkich są wystarczające.

Ludzie związani z Ruchem chcą, aby Islandia stała się informacyjnym rajem, na wzór egzotycznych rajów podatkowych. Powołana przez nich do życia Icelandic Modern Media Initiative (IMMI, Islandzka Inicjatywa Nowych Mediów) to projekt prawa zbierającego najlepsze rozwiązania chroniące media i wolność słowa z różnych krajów w jeden nowatorski system. Pomysł zrodził się, gdy bank Kaupthing z pomocą sądu na pięć minut przed emisją zablokował materiał telewizyjny o wycieku na swój temat opublikowanym przez WikiLeaks. Julian Assange został jednym z konsultantów IMMI.

– Chcemy, aby nowe prawo ochraniało cały łańcuch przepływu informacji – tłumaczy Smari McCarthy, jeden z autorów projektu. – Od źródeł, choćby w rządzie, przez dziennikarzy, wydawców, dostawców Internetu, aż po odbiorców informacji. Islandia będzie megafonem o globalnym zasięgu dla wszystkich

„My, naród Islandii, pragniemy stworzyć sprawiedliwe społeczeństwo z równymi szansami dla wszystkich”

Z PROJEKTU NOWEJ KONSTYTUCJI ISLANDZKIEJ

grup cenzurowanych w swoich krajach. Zmienimy przepisy o zniesławieniu i utajnimy adresy IP nadawców.

Projekt został zaaprobowany przez Althing i trafił do Ministerstwa Edukacji, gdzie ma zostać dostosowany do realiów. Jak tłumaczy Vilberg Gudjonsson z ministerstwa, chroniąc informację IMMI, nie może otaczać opieką terrorystów, którzy chcieliby budować na islandzkich serwerach swoje komunikacyjne siatki.

– W życie na pewno wejdzie wersja okrojona – mówi. – Ale i tak będziemy mieli najbardziej przyjazne wolności słowa prawo na świecie.

– Kiedy ludzie w innych krajach zobaczą, że to działa i ile dobra przynosi społeczeństwu, zaczną walczyć, aby wprowadzić podobne rozwiązania u siebie – przekonuje McCarthy.

IMMI ma też być zaproszeniem dla zagranicznych mediów do przeprowadzki na Islandię. Według dziennika „Los Angeles Times” duża niemiecka gazeta i telewizja informacyjna z USA już ustawiły się w kolejce po koncepcję i czekają, aż prawo wejdzie w życie.

### Domowa kielbasa

Islandia wychodzi z kryzysu. Spadły bezrobocie i inflacja, wzrost jest na plusie, wracają



Brynjar Gunnarsson/AP/EAST NEWS

inwestorzy. Potrzebna była pożyczka z Międzynarodowego Funduszu Walutowego (10 mld euro), ale obyło się bez promowania go w całej Europie zaciskania pasa. Wzrost, przeciwnie – w najgorszym momencie socjalne programy osłonowe zostały rozszerzone. „Sytuacja była tak fatalna, że konwencjonalne rozwiązania nie wchodziły w grę, co dało Islandczykom swobodę, żeby łamać wszelkie zasady” – skomentował noblista Paul Krugman. Nawet prorynkowy „Washington Post” napisał: „Droga Islandii od finansowej ruiny do powolnego ozdrowienia to studium przypadku wyborów niedokonanych w innych krajach, stojących nad przepaścią”.

Islandczycy już dwukrotnie w referendum odrzucali propozycję rozpisania na 30 lat między wszystkich obywateli spłaty czterech miliardów euro, jakie ciulacze z Wielkiej Brytanii i Holandii stracili w islandzkich bankach. „Nasze wnuki nie będą pokutować za bankową gangsterkę” – mówią Islandczycy. Zamiast płacić za bankierów, ścigają ich. Nie tylko postawili przed trybunałem stanu byłego premiera Haarde, ale powołali też specjalnego prokuratora, który przeprowadza naloty na biura firm finansowych, zatrzymuje i przesłuchuje najważniejszych budowniczych piramidy. Piastujący to stanowisko Ólafur Thor Hauksson jeszcze nie zamknął żadnego śledztwa, ale na upublicznionej liście podejrzanych umieścił już ponad 150 finansistów. Za jednym z nich, byłym szefem Kaupthinga, Sigurdurdem Einarssonem, list gończy rozprawił Interpol.

Większość rodzin jeszcze przez lata spłacać będzie walutowe długi. Społeczeństwo kłóci się o to, czy wstępować do Unii (na dziś sondują, że dają nieznaczną przewagę przeciwnikom). Ale większość Islandczyków odetchnęła z ulgą, że bankowy sen się skończył. – Znów jesteśmy sobą – mówi nauczycielka Steinunn Knutsdóttir w rozmowie z „New York Timesem”. – Wyciliśmy do szydełkowania i robienia dzema.

A Birgitta Jónsdóttir zapewnia, że wspólne pisanie nowej konstytucji nie jest pojedynczym eksperymentem z demokracją bezpośredniej. „Rejkjavik uruchomił forum obywatelskie, na którym każdy mieszkający może wnieść sugestie, co powinno zrobić się dla miasta” – pisze. „Rada miejska co miesiąc musi wybrać pięć propozycji i zacząć je realizować. Następnym krokiem jest wprowadzenie takiego systemu w parlamencie, a potem na poziomie ministerstw”. Wygląda na to, że Islandczycy, jako pierwsi w Europie, odkryli oczywistą oczywistość: domowa kielbasa smakuje najlepiej.

# Solidarność hologramów



TOMASZ PIĄTEK

Autor felietonu jest pisarzem

jeszcze parę innych rzeczy, które nie toną. Na przykład gównu. Lis prowadzi program w telewizji, nie umrze z głodu. Zresztą nie da mu zrobić krzywdy jego idol Donald Tusk. W najgorszym wypadku Lis zostanie rzecznikiem rządu. Czyli tym, czym już w zasadzie jest.

Właśnie, Donald Tusk. O niego to przecież poszło. Czytelnicy „Wprost” wybierali Człowieka Roku. I wróble na dachu donoszą, że wybrali Janusza Palikota. Tymczasem lizus, przepraszam, Lis przekonał kapitulę, żeby przyznała tytuł Człowieka Roku Donaldowi Tuskowi. I za to wydawca „Wprost” Michał Lisiecki wylał Lisa (Lisiecki wylał Lisa – i to dobrze brzmi).

Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że duża grupa ludzi uważa Lisa za ikonę profesjonalnego, obiektywnego dziennikarstwa. Był nawet taki moment, że spory procent Polaków gotów był głosować na Lisa w wyborach prezydenckich (choć nie startował, bo hologram nie może startować w wyborach prezydenckich, nie osiągnęliśmy jeszcze tego poziomu technokracji). I pewnie nadal jest wielu takich, którzy chętnie zagłosowaliby na migozczącej zjawę.

Kiedyś był taki dowcip – temat matury w Związku Radzieckim: „Kto jest twoim idolem i dlaczego Lenin?”. W przypadku Lisa jest podobnie, tyle że jego idolem nie jest Lenin, tylko Donald Tusk. I zarazem jest on idolem czytelników Lisa. A jeśli się okaże, że nie jest, to zaraz potem okaże się, że jednak jest. Czytelnicy mogą oczywiście zagłosować, jak chcą, ale dziwnym trafem zawsze zostanie wybrany Tusk. Obawiam się, że nawet gdyby Lis wystartował w wyborach prezydenckich i większość by na niego

zagłosowała, to i tak na końcu okazałoby się, że wygrał Tusk. Nasz hologram automatycznie przekazuje mu głosy, tak został zaprogramowany.

Zastanawiając się razem z Zebkiem nad tym dziwnym uwielbieniem Lisaka dla Tuska, doszliśmy do wniosku, że jego źródłem jest solidarność. Solidarność hologramów. Po prostu Tusk też jest hologramem, telewizyjnym widmem. Dwa telewizyjne widma wspierają się nawzajem, bo żyją we wspólnym strachu, że ich egzystencja może zostać nagle przerwana – kiedy wyłączymy telewizory.

Do tego nie mogą dopuścić, dlatego muszą nieustannie wzbudzać zainteresowanie sobą.

Mam tylko jedno zastrzeżenie: tytuł Człowieka Roku jest trochę nazbyt abstrakcyjny. A przecież każdy hologram, także hologram Tusk, wymaga tego, żeby go unamacalnić, odwidmować przez ukonkretnienie. Co to znaczy: Człowiek? Od razu rodzi się cała masa pytań: co za Człowiek, jaki Człowiek, co robi, ile zarabia? Dlatego nie ograniczałbym się do tytułu Człowieka Roku i poszedłbym w coś bardziej konkretnego. Ogłosmy Tuska Płetwonurkiem Roku, Kioskarzem Roku, Maszynistą Roku. W ten sposób stanie się bliższy ludziom i mniej widmowy, bardziej jakiś, a mniej jakiś taki.

– Tak więc nie masz co się martwić, Zebku – powiedziałem do papugi. A papuga odpowiedziała: „Kauczukowe monstra”, bo to akurat nauczyła się mówić, mieszkając ze mną. Kauczukowe monstra. A także wątpliwa śledziona. Słoił z kiszonymi smartfonami. Krzyk niemowląt w rękach pięcioletniego dentysty. Bo każdy umysł, także i ptasi, należy uczyć coraz bardziej rozbudowanych pojęć.

Papuga Zebek była od rana wyjątkowo niespokojna. Szybko domyśliłem się dlaczego. Niepokoił ją Lis. Nie lis w sensie zwierzę, tylko Lis w sensie hologram. Czyli Tomasz Lis, który nie jest człowiekiem, jest hologramem. Chociaż nie wiem, czy mogę tak napisać, czy nie zostanę za to skazany, skoro kilkunastu internautom, którzy nazwali polskich żołnierzy w Afganistanie okupantami, grożą trzy lata więzienia. Trzeba uważać, co się pisze. Ale nawet gdyby mnie skazano, prawdy to nie zmieni: Tomasz Lis jest śliczną, fosforyzującą zjawą trójwymiarową. A najcenniejszą dwuwymiarową, bo telewizyjną.

Papuga Zebek obgryzała dziobem (o ile można obgryzać, nie mając zębów) pręty swojej klatki, bo niepokoiły ją losy Lisa (losy Lisa – to dobrze brzmi) po tym, jak został wyrzucony ze stanowiska naczelnego tygodnika „Wprost”. Tygodnika wprost lizusowskiego. Lislizus (to też dobrze brzmi).

Nie martw się, Zebku, o Lisa – pocieszaj się papugę. – Co ma wisieć, nie utonie. I jest



## Prawo drogi w sieci

Sposób tworzenia umowy ACTA rodzi fundamentalne pytania o przestrzeganie demokratycznych zasad tworzenia prawa w czasach, w których idea państwa suwerena ustępuje społeczeństwu globalnemu

PIOTR WAGŁOWSKI

**P**rawa własności intelektualnej to czasowe monopole. Jest ich wiele i są różnie skonstruowane. Prawo autorskie różni się od prawa patentowego. Ochrona prawa autorskiego pojawia się bez konieczności spełnienia jakichkolwiek formalności przez twórcę. W przypadku wynalazków jest inaczej – aby uzyskać ochronę, należy pójść do urzędu patentowego i przebić się przez procedury rozpoczynające się od formalnego wniosku. Inaczej chronione są znaki towarowe, a inaczej tajemnica przedsiębiorstwa. Wszystkie te kategorie wrzucono jednak do jednego worka, a dodatkowo opatrzone etykietą praw własności.

Nawet klasyczna własność we współczesnych społeczeństwach ma ograniczenia. W pewnych sytuacjach możliwe jest wyłączenie, zasiedzenie, pojawiają się służebności, jak np. prawo drogi. Bo nie uznalibyśmy tego za słuszne, że właściciel działki otoczonej ze wszystkich stron przez sąsiadów nie może korzystać ze swojego prawa własności. Po prostu prawodawcy uznają, że są sytuacje, w których beneficjent prawa musi ustąpić przed dobrem nadrzędnym.

Jeśli w demokratycznych państwach do kanonu najważniejszych wolności człowieka należy wolność pozyskiwania i rozpowszechniania informacji, a wartością jest również przejrzystość działania władzy

publicznej, to widać tu wyraźnie ostry konflikt z monopolami informacyjnymi, którymi w istocie są prawa chroniące własność dziwną, bo intelektualną. Ponieważ bliska mi jest perspektywa internetowa, postawię na boku problem „podrabianych towarów” (w tym leków, modyfikowanej żywności czy części samochodowych) i napiszę, że właśnie tego konfliktu dotyczy w dużej mierze spór o ACTA.

ACTA to narzędzie globalnej polityki, a konkretnie presji wobec krajów, które takiej umowy nie podpiszą. Traktat miał stworzyć wspólny front m.in. przeciwko Chinom i Rosji. W Polsce argumentowano, że powinniśmy należeć do zanego grona państw, które przystąpią do umowy, bo to dobre towarzystwo, a także ostrzegano, że nie możemy znaleźć się ponownie na liście krajów nieprzestrzegających prawa autorskiego (Special 310 Report). Listę tę publikuje corocznie Biuro Przedstawicielstwa Handlowego USA. W tej dyskusji istnieją kraje, które do dóbr niematerialnych czynią element wzrostu PKB, i kraje, które do takich dóbr podchodzą w inny nieco sposób.

W instrukcjach negocjacyjnych polskiego rządu z maja 2008 r. czytamy, że ACTA ma ustanawiać „złote zasady” przestrzegania praw własności intelektualnej i promować ich wdrażanie. W pierwszych wersjach projektu ACTA były propozycje przepisów, które pozwalająby

wprowadzanie w umowach z konsumentami klauzul, zezwalających na wysyłanie im ostrzeżeń o naruszeniach prawa autorskiego. Brzmi niewinnie, ale w tym czasie we Francji forsowano przepisy istniejące dziś w publicznej świadomości jako zasada Three Strikes – trzech ostrzeżeń, po których korzystający z Internetu może być przez dostawcę Internetu pozbawiony dostępu do sieci.

We Francji nie było łatwo. O konstytucyjności takiego rozwiązania wypowiadała się tam nawet Rada Konstytucyjna, która podważyła sposób zaprojektowanego wówczas działania urzędu HADOPI (Haute Autorité pour la diffusion des Œuvres et la protection des droits sur Internet). Ustawę poprawiono i weszła ona w życie, ale opinia publiczna już wówczas porównywała znane z wycieków dokumenty negocjacyjne ACTA z projektowanymi równoległe we Francji rozwiązaniami.

Koncepcja odcinania konsumentów od sieci pojawiła się również przy okazji projektowania na poziomie Unii Europejskiej przepisów tzw. pakietu telekomunikacyjnego, ale tu znalazła się opozycja, która w Parlamencie Europejskim zablokowała takie propozycje. Organizacje pozarządowe alarmowały również wówczas, gdy przez instytucje europejskie przechodziła Dyrektywa IPRED, czyli przepisy związane z egzekwowaniem praw własności intelektualnej. Te również porównywano z ACTA i postrzegano jako element eksportu myśli amerykańskiej na grunt europejski.

Silnym orężem wspierającym interesy branży praw własności intelektualnej jest idea odpowiedzialności pośredników za treści przesyłane w ich infrastrukturze. Kładąc na stole takie propozycje, można skłonić przedsiębiorstwa telekomunikacyjne oraz świadczących usługi drogą elektroniczną do uważnego słuchania. Unia Europejska wspiera samoregulację jako jeden z istotnych elementów uzupełniających system prawny, dlatego zarówno w poszczególnych krajach, jak i na poziomie europejskim zaczęły się spotkania „właścicieli praw” i „pośredników w dostępie”. Spotkania takie organizowała Dyrekcja Generalna ds. Rynku Wewnętrznego UE ze spółkami tworzącymi infrastrukturę teleinformatyczną, w Wielkiej Brytanii doszło nawet do podpisania porozumienia między rządem, głównymi ISP (Internet Service Providers), a wydawcami muzycznymi i filmowymi już w 2008 r.

W Polsce, jak się niedawno okazało, prace nad takim porozumieniem toczyły się w ramach tzw. grupy Internet funkcjonującej przy Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. I pewnie doszłoby do podpisania takiej umowy, ale poszukująca wsparcia branża teleinformatyczna zaalarmowała Generalnego Inspektora Ochrony Danych Osobowych, który nie znalazł podstaw prawnych do proponowanych w projekcie porozumienia postanowień. Interesujące jest to, że negocjacje takie toczyły się bez angażowania uwagi opinii publicznej. Z kolejnych wersji ACTA zniknęły propozycje, które mogłyby powodować odpowiedzialność ISP za naruszenia praw, ale pozostawiono przepisy mówiące o samoregulacji oraz o przekazywaniu sobie – w pewnych okolicznościach – danych osobowych użytkowników Internetu.

Tu pojawia się zagrożenie „prywatyzacji” imperium państwa. Sposób tworzenia umowy ACTA musi rodzić fundamentalne pytania o przestrzeganie demokratycznych zasad tworzenia prawa w czasach, w których idea państwa suwerena ustępuje społeczeństwu globalnemu. Jak zapewnić równy udział obywateli wszystkich umawiających się państw w procesie stanowienia takiego prawa? Wiemy już, że USA ściśle współpracowały nad projektami ACTA z tamtejszym biznesem. Mowa o tym m.in. w notatkach dyplomatycznych USA, które poznaliśmy dzięki wyciekom publikowanym w WikiLeaks. Był to problem podnoszony ponoć przez Komisję Europejską, która nie wiedziała, w jaki sposób ma przeprowadzić konsultacje

z zainteresowanymi podmiotami w Europie, a USA naciskało na zachowanie poufności negocjacji.

Kiedy w styczniu 2010 r. odbywało się poświęcone ACTA spotkanie organizowane przez Meksykański Instytut Własności Intelektualnej, to jego uczestnikom zaproponowano w pierwszej kolejności podpisywania klauzul poufności. Gdy jedna z uczestniczek spotkania usiłowała relacjonować jego przebieg na Twitterze, wyprowadzili ją ochroniarze. Kiedy eurodeputowani chcieli poznać treść dokumentów negocjacyjnych, dowiedzieli się, że negocjatorzy komisji zobowiązali się do poufności i wybrani w demokratycznych wyborach przedstawiciele obywateli UE nie mogli poznać tych dokumentów. W różnych krajach obywatele samodzielnie występowali do władz z wnioskami o dostęp do informacji na temat prowadzonych negocjacji, ale albo otrzymywali zacierzone od góry do dołu kartki, albo ich wnioski były ignorowane.

W jednej z instrukcji rządowych, które opublikowano właśnie w Polsce pod naciskiem protestujących tłumów, czytamy o ACTA, że „projekty poszczególnych rozdziałów nie powinny być udostępniane poza kręgi administracji publicznej. Uniemożliwia to przeprowadzenie konsultacji społecznych tych dokumentów. Może także spowodować niejasności w przypadku ewentualnego pojawienia się wniosku o ich udostępnienie w trybie ustawy o dostępie do informacji publicznej”. →

REKLAMA

**PRZED  
PEP  
KÓWKE**

II benefit przed XIII Mánifą!

WARSZAWA  
17.02.2012 (piątek)  
M25 (ul. Mińska 25)  
od 21:00  
wjazd: 20 zł + wielka loteria i inne atrakcje!

zagrają:  
R.U.T.A  
CIPASWDUPAS  
SKOWYT

DJe:  
SIOSTRY  
FAIRYBOY  
LADYBOY

→ Spór o ACTA to dla mnie głównie spór o demokratyczne zasady gry w globalnym społeczeństwie. Koncepcja tajnych rokowań z udziałem niektórych zainteresowanych i w ich interesie klóci się w mojej ocenie z ideą przejrzystości życia publicznego oraz równego traktowania wszystkich przez władze publiczne. Dostęp do informacji publicznej jest narzędziem kontroli władzy zwierzchniej (w polskiej konstytucji jest nią naród) nad jego przedstawicielami. Jest też warunkiem sine qua non dla bezpośredniego sprawowania tej władzy (a takie bezpośrednie sprawowanie władzy również polska konstytucja przewiduje).

Historia negocjacji ACTA pokazuje, że w globalnym społeczeństwie informacyjnym idea demokracji przedstawicielskiej całkiem się skompromitowała. Eurodeputowani i posłowie krajowi zaczęli przyznawać się do tego, że właściwie nie wiedzą, nad czym głosują, okazało się, że rządy przyjmują zobowiązania w imieniu obywateli swoich krajów, ale albo nie siadając wcześniej przy stole negocjacyjnym, albo nie przygotowując analiz prawnych i ekonomicznych potrzebnych do rzetelnego podjęcia decyzji, albo nawet nie czytając przyjmowanych dokumentów. Również media, które uważa się jeszcze czasem za kontrolera władzy publicznej, zawiodły. Niektórzy uważają, że media są w tym sporze stroną. Ja sam nie wiem, co w swoich opiniach na temat ACTA napisały Telewizja Polska, Polsat czy TVP. Podobno były konsultowane przez MKiDN, ale stanowisk tych podmiotów nie opublikowano na ministerialnych stronach internetowych.

Polacy nie mają narzędzi do sprawdzenia, czy rząd opublikował wszystkie informacje publiczne w danej sprawie, nie ma prostych narzędzi domagania się dostępu do stanowisk negocjacyjnych innych państw i podmiotów biorących udział w międzynarodowych

negocjacjach, nawet jeśli rząd takie informacje posiada. Tworzy się prawo ponad głowami obywateli i bez ich udziału. Nie można mówić o konsultacjach społecznych, gdy do stołu dopuszcza się tylko „jedną stronę” albo „wybrane strony”.

Jednocześnie wszyscy naruszają lub bezwiednie mogą naruszać prawo własności intelektualnej. Przekonali się o tym nawet zwolennicy i autorzy francuskiego urzędu HADOPI, gdy okazało się, że logo tego urzędu przygotowano z wykorzystaniem chronionego kroju pisma i bez zgody autora. Naruszać prawo może premier rządu, jeśli uzna, że może na „własnych stronach” umieścić treść artykułu opublikowanego w zagranicznej prasie. Może też naruszać prawo dziennikarza gromiący piratów, gdy okaże się, że nie wie, jakie są granice prawa cytatu, albo pod załączonym do swojego tekstu obrazkiem umieszcza przypis „źródło: Internet”. Bo wszyscy jesteśmy twórcami, ale beneficjentami systemu ochrony są tylko niektórzy.

Mówi się, że ACTA nie zmieni polskiego prawa, ale prawo to już stało zmienione w ramach współpracy europejskiej. ACTA zaś staje się narzędziem utrzymania status quo. Bo idzie nowe, a branża potrzebuje zarabiać na własności intelektualnej w modelu „tradycyjnym”, czyli zemplarzowym, nie potrafią często wypracować nowych modeli biznesowych w warunkach powszechnej i naturalnej wymiany informacji. Wydaje się, że brakuje im tu kreatywności. Chociaż potrafią wykorzystywać swoje wpływy w procesie globalnego tworzenia prawa. Zwłaszcza gdy dostęp do informacji o takim tworzeniu prawa jest limitowany.

Piotr Waglowski jest autorem serwisu VaGla.pl Prawo i Internet

# Służba oszczędzania na zdrowiu



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu  
jest socjologiem

Z tygodnia na tydzień dowiadujemy się coraz to nowych rzeczy o funkcjonowaniu służby zdrowia po wejściu w życie ustawy refundacyjnej. Jeszcze przed ogłoszeniem listy leków refundowanych zapowiadało się, że będzie nieciekawie. Prasa specjalistyczna pisała, że zdrożeją leki na choroby przewlekłe, astmę, cukrzycę i nowotwory. Tańsze za to będą leki na choroby ostre. Jakby Ministerstwo Zdrowia uznało, że bardziej opłaca się inwestować w leczenie tych, których choroba oderwała na chwilę od roboty, ale zaraz do niej wrócą. Styczeń rozpoczął się od protestów lekarzy, na których nałożono obowiązek kontrolowania uprawnień pacjentów do refundacji. Lekarze mieli dobre powody do sprzeciwu: nie chodzi tylko o to, że ustawodawca nałożył na nich dodatkowe obowiązki, lecz także o to, że uczywanie z kontroli części wizyty u lekarza narusza podstawową zasadę relacji między nim a pacjentem, jaką jest zaufanie.

Na początku stycznia ustawę znowelizowano, tak aby uspokoić lekarzy. Najgorsze jednak dopiero przed nami. Jak wskazuje były minister zdrowia Marek Balicki, nowe przepisy dramatycznie ograniczają możliwości zapisywania leków z refundacją dzieciom i kobietom w ciąży. Otóż od początku tego roku leki refundowane są jedynie wówczas, gdy zostały zastosowane zgodnie ze wskazaniami rejestracyjnymi, tzn. podanymi przez pro-

ducenta podczas procedury rejestracji leku. Tymczasem na kobietach w ciąży i dzieciach raczej nie prowadzi się badań nowych leków, a na dodatek wiedza medyczna rozwija się i wiele leków znajduje nowe zastosowania. Owszem, można leczyć pacjentów w takiej sytuacji zgodnie z najnowszą wiedzą medyczną – ale ze 100-procentową odpłatnością.

To nie koniec. Ustawa refundacyjna zdążyła już dopieć podopiecznym domów pomocy społecznej. Od nowego roku apteki nie mogą oferować klientom zniżek czy promocji. Leki, które jeszcze kilka tygodni temu starsi pacjenci przebywający w DPS-ach otrzymywali za darmo lub za symboliczną opłatą, dziś kosztują i kilkaset złotych miesięcznie. Wygląda na to, że minister Ewa Kopacz, odpowiedzialna za przygotowanie ustawy refundacyjnej, po prostu wzięła sobie do serca konstytucyjny przepis, zobowiązujący władze publiczne „do zapewnienia szczególnej opieki zdrowotnej dzieciom, kobietom ciężarnym, osobom niepełnosprawnym i osobom w podeszłym wieku”. Ustawa refundacyjna uderza bowiem we wszystkich pacjentów, ale w te grupy w sposób szczególny.

Jak to możliwe, że takie prawo w ogóle zostało przyjęte? Czy stoi za tym niechlujność i brak wyobraźni? Przekonanie, że jakoś to będzie, a jeśli problemy wyjdą w praniu, to się je naprawi? A może to po prostu determinacja w dążeniu do celu, jakim jest szukanie oszczędności w ochronie zdrowia, nawet kosztem zdrowia pacjentów? Nie da się zrobić omletu, nie rozbijając przy tym paru jaj...

A może kolejne reformy służby zdrowia realizują konsekwentnie pewien projekt, nie wahajmy się go tak nazwać: cywilizacyjny? Ta myśl przyszła mi do głowy po raz pierwszy wiele lat temu, kiedy moja ciocia Ewa zachorowała na raka. Chorowała na niego już po raz drugi, po ponad dziesięcioletniej przerwie, była więc doświadczoną pacjentką. A jednak przez tę dekadę wiele się zmieniło. Choćby sposoby leczenia: w jej przypadku chemioterapię można już by było

przyjmować w tabletkach, bez konieczności podłączania kroplówki. Co za ulga dla żył! Na dodatek takie leki można brać w domu, co oszczędziłoby wielu dni spędzonych w szpitalu. Jednak w ciągu lat zmieniły się nie tylko metody leczenia. To było już po reformie służby zdrowia przeprowadzonej przez rząd Jerzego Buzka. Żeby dostać leki, trzeba było napisać podanie do ministerstwa. A na podaniu potrzebny był podpis lekarza. Lekarz, owszem, podpisał, a nawet postawił pieczęć. Obok dodał komentarz: „Leczenie pozaszpitalne. Szpital nie jest zainteresowany w przyznaniu leku”.

Lek został przyznany. Nie udało mi się rozkminić wszystkich meandrów refundacji, ale prawdopodobnie dla ministerstwa liczył się po prostu podpis z pieczęcią. Pamiętam zaskoczenie cioci, że lekarz może „nie być zainteresowany” terapią pacjentki. Chorowała już, jak pisałem, na początku transformacji. Mimo że wokół szalał kryzys, lekarze robili wrażenie, jakby leczenie pacjentów było dla nich najważniejszą rzeczą na świecie. A tu nagle taki szok: parę lat i wszystko się tak zmieniło.

W dyskusjach o prywatyzacji, komercjalizacji czy reformach ochrony zdrowia nie chodzi przecież o abstrakcyjne koncepcje. Czy w Polsce mamy jeszcze w ogóle system ochrony zdrowia? O takim systemie można mówić wtedy, kiedy wszystko kręci się wokół zdrowia: ochrona zdrowia jest traktowana jako prawo człowieka, zaś uwarunkowania ekonomiczne, prawne i polityka badań naukowych są zorganizowane tak, by służyć zaspokajaniu potrzeb medycznych ludzi. Resztki takiego systemu jeszcze w Polsce istnieją, ale w istocie żeruje na nich nowy porządek, w którym zaspokajanie potrzeb medycznych jest po prostu szczególną branżą gospodarki. W istocie nie jest to system ochrony zdrowia, lecz system oszczędzania na zdrowiu. Który dla niektórych i w pewnych przypadkach jest także systemem zarabiania na zdrowiu. Ale to się niestety nie klóci.

REKLAMA

## COREL



### Do dzieła!

Razem z kursem Corela z łatwością opanujesz tworzenie obiektów graficznych, ich modyfikacje oraz stosowanie różnorodnych efektów. Filmy instruktażowe z komentarzem lektora pomogą Ci opanować nawet najtrudniejsze zagadnienia. Dzięki temu sam będziesz mógł projektować plakaty, zaproszenia i inne materiały promocyjne.

W poniedziałek, 13.02 – część 1 „Szybki start”

We wtorek, 14.02 – część 2 „Praktyczne projekty”

Wydania z płytami dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.

RZECZPOSPOLITA rp.pl/hity

**Jak długo palisz marihuane?**

- Od 12 lat.

**A ile razy miałeś kontakt z policją z jej powodu?**

- Zatrzymany byłem dwa razy. Wielokrotnie zaś byłem podejrzany o posiadanie.

**I w jednym, i w drugim wypadku może się to nieprzyjemnie skończyć.**

- Niekoniecznie. Cztery razy już siedziałem w radiowozie, ale nigdy nie dojechałem na komisariat. A dwa razy udało mi się nawet odzyskać towar, choć przy rutynowej kontroli, jak to się w protokole pisze, „posiadałem susz koloru zielonego”.

**Jak to?**

- Miałem przy sobie małe ilości. Mafia przeżyła narkotyki tonami, ja miałem dwa-trzy gramy - policja przecież widzi różnicę. Powiedziałem więc: „Panowie, wykonujecie ciężką pracę, ja jestem tylko niedzielnym użytkownikiem, normalnym człowiekiem, żadnym dilerem, posiadam na własny użytek”.

psychoaktywnych. Wedle statystyk wzrost wykrywalności przestępstw na tle narkotykowym w ciągu dziesięciu lat wyniósł 1500 proc., z tego dwie trzecie „przestępców” to byli posiadacze małych ilości. To mówi samo za siebie.

**Domyślam się, że jesteś w grupie, która podwyższa te statystyki. Co zacząłeś robić?**

- Powtórzę: egzekwować swoje prawa. Nauczyłem się to robić tak dobrze, że czasem sam prowokuję policję. Głównie w sytuacjach, kiedy jestem w grupie osób, o których wiem, że mają narkotyki, i zdaję sobie sprawę, że one sobie nie poradzą.

**Jak wygląda kontakt z policją, kiedy jesteś podejrzany o posiadanie marihuany?**

- Pierwsze, co słyszę: „Proszę wyciągać wszystkie rzeczy z kieszeni”. Odpowiadam więc: „Proszę pokazać mi legitymację zaświadczającą, że jest pan policjantem”. A kiedy dany funkcjonariusz nie chce mi jej pokazać, naciskam: „Nie wierzę,

Prawo ma. Jednak to, że ja okazuję się być oporny, zmienia układ sił.

**Są wobec ciebie bezradni?**

- Są bezradni wobec tego, że znam swoje prawa. Jeśli policja chce mnie przeszukać, proszę za wsze o sporządzenie protokołu przeszukiwania. Jeśli podejrzewa o posiadanie narkotyków, proszę o uzasadnienie, na jakiej podstawie padło to podejrzenie; jeśli chce zbadać moją krew czy ślinę na obecność substancji psychoaktywnych, proszę o certyfikat danego narkotestu i tak dalej. Oczywiście, to nie wszystko. Ja celowo pajacuję.

**Jak?**

- Z góry ostrzegam: „Panowie, jeśli znajdziecie u mnie narkotyki, to przechodzę na język szahili”. A kiedy już znajdują u mnie ten „susz koloru zielonego”, mówię: „Nie wiedziałem, że to, co mam w kieszeni, to marihuana. Myślałem, że majeranek”.

# Jointem w parlament

Chcemy móc tak jak nasi koledzy w Unii hodować marihuane na własny użytek i nie być traktowani jak przestępcy tylko za to, że posiadamy trzy gramy. Okazuje się, że chcemy za dużo. Teraz więc czas na nas - mówi w rozmowie z Mają Ruszpel **ANDRZEJ DOŁECKI** z Wolnych Konopi, współorganizator akcji palenia jointów przed Sejmem



rem, posiadam na własny użytek”. Puścili mnie. Drugim razem zapytali: „Co wolisz, dziesięć razy pałką czy na komisariat”? Powiedziałem: „Dobra, lej mnie pan”. Ale wtedy trafiłem na jakichś zwyrodniałców, którzy chcieli komuś dokuczyć, a nie egzekwować prawo.

**Jeśli palisz już 12 lat, to chyba wiele razy byłeś w takiej sytuacji.**

- Ale wiele się nauczyłem, a działając w Wolnych Konopiach, zacząłem uczyć innych.

**Czego?**

- Egzekwowania swoich praw. Zazwyczaj bowiem byłem podejrzany o posiadanie marihuany akurat wtedy, kiedy jej przy sobie nie miałem. Ale to nic wyjątkowego. Każdy może być podejrzany o posiadanie. Od 2000 r., kiedy zmieniono ustawę o przeciwdziałaniu narkomanii i za jointa można było trafić do więzienia, moi koledzy masowo zaczęli mieć problemy z powodu posiadania małych ilości substancji

że pracuje pan dla policji, proszę pokazać legitymację, bo mam wrażenie, że nie zna pan ustawy o policji i może jest pan przebiezańcem, który chce wyłudzić ode mnie pieniądze, chyba więc powinienem zadzwonić na 997 i to zgłosić”.

**I co wtedy?**

- Zazwyczaj słyszę różne nieprzyjemne słowa, które mają na celu mnie, mówiąc delikatnie, zdyscyplinować. Ale ja nie ustępuję. Pytam więc: „Pan mnie teraz straszy, używa pan wobec mnie słów powszechnie uważanych za obelżywe. Czy zna pan ustawę o policji, gdzie jest napisane, że pan ma przede wszystkim służyć obywatelowi?”. Jeśli mam świadków zdarzenia, mówię danemu funkcjonariuszowi, że złożę na niego doniesienie do prokuratury za popełnione wykroczenie.

**Rozumiem. Jednak jeśli jesteś podejrzany o posiadanie narkotyku, policja ma prawo cię przeszukać.**

**Ale wtedy przestajesz być wiarygodny. To jest celowe utrudnianie pracy policji. Przecież widzą to gołym okiem.**

- Oczywiście. Ale z drugiej strony mam świadomość, że taki funkcjonariusz też jest człowiekiem i musi myśleć o sobie. Jeśli go łapią, musi mieć stany lękowe, a kontakt z policją to dla mnie ogromny stres i chyba popełnia samobójstwo, on dla własnego bezpieczeństwa musi poprosić o konsultację z psychiatrą. Jeśli dodam, że boli mnie serce i kręci mi się w głowie, to - zanim mnie zatrzyma na 24 godziny - musi mnie zawieźć na konsultację z internistą. Dlatego zazwyczaj pytam od razu: „O której pan kończy pracę? Za godzinę? No, to niestety nie wróci pan szybko do domu”.

**To wszystko generuje koszty, czas.**

- I o to Wolnym Konopiom chodzi. Jeżeli uda się nam zmienić ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii w Sejmie, będziemy

dotyczy kryzys i brak pieniędzy. Każdemu zależy na tym, żeby zarobić. Poza tym ta praca nie jest przyjemna. Każdy, kto pali, wie, że to żaden komfort spotykać się z jakimiś dresiarzami na klatkach schodowych, nie wiedząc, czy dany diler jest obserwowany, czy nie i czy nie wynikną z tego jakieś poważniejsze konsekwencje. Dlatego wychodzę z założenia, żeby samemu hodować. To oszczędza problemów, zarówno osobie palącej, jak i całemu aparatowi władzy, a mafia na tym nie zarabia. Przy okazji warto jednak obalić mit, że dilerzy dorzucają do marihuany heroinę. Heroina jest dużo droższa niż marihuana. To się nie opłaca.

**Nasiona konopi są legalne. Przygotowując się do wywiadu, znalazłam w Internecie kilka sklepów, gdzie można je kupić.**

- Nasiona tak. Są też sposoby, by dostarczać je tak, by nie wzbudziło to niczyich podejrzeń. Podobnie działają sklepy z dopalaczami. One wciąż istnieją, tylko w Internecie. My, jako Wolne Konopie, jesteśmy jednak za tym, by palić taką marihuane, jakiej skład się zna, a tego od ludzi sprzedających dopalacze ani od mafii nie można wyegzekwować. Dlatego kilka lat temu wymyśliłmy akcję „Otwarta pestka”. Rozsyłamy kilka tysięcy nasion do ludzi, którzy się po nie zgłoszą, po to, by sami ją sadzili. Staramy się szukać rozwiązań, jak obchodzić prawo. Z jednej strony edukujemy ludzi, jak postępować podczas wpadki, z drugiej - rozsyłamy nasiona.

**Jesteś koneserem marihuany?**

- Oczywiście.

**Ja nie. Możesz mi opowiedzieć więcej, na co powinnam uważać, gdybym chciała jej spróbować?**

- Są trzy podstawowe grupy konopi: indyjska, słodna i mieszanka. Są też odmiany mutowane - nasiona konopi, tak jak inne produkty spożywcze, są genetycznie modyfikowane. Dla mnie to zbrodnia na roślinie. Ale tym, którzy zarabiają na sprzedaży takich nasion, zależy na podwyższeniu zawartości THC, czyli substancji, która jest psychoaktywna. Z tego powstaje marihuana, po której nie wiesz, jak się nazywasz. Jest bardzo mocna. Jeszcze czymś innym jest marihuana kupowana od mafii. Najczęściej jest zmieszana z cukrem, szkłem, środkami uspokajającymi, sodą, mąką, piaskiem. Przeciętny człowiek tego nie wie. Myśli, że biały pył na ususzonych listkach świadczy o tym, iż roślina kwitła, a ja wiem, że ten pył to mąka. Bywa też i tak, że palisz i widzisz, że popiół nie spada...

**Jak to możliwe?**

- Tak bywa z jointami od dilerów. Nie wiadomo nawet, co tam jest. Oni z kilograma suszu robią półtora kilo, dosypując, co im tylko przyjdzie do głowy.

**Nie zależy im na kliencie?**

- Dilerzy to najsłabsze ogniwo w strukturze mafii. Co chwila któryś z nich ma problemy albo z policją, albo z „przełożonymi”, bo - na przykład - wziął od nich towar na kredyt i nie potrafi się wypłacić. Cały czas jest rotacja. Zresztą dilerów, tak jak każdego,

od 2000 r., kiedy moi koledzy, po zmianie ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii, zaczęli wpadać w ręce policji.

**Na świecie coraz więcej ludzi i organizacji opowiada się za dekryminalizacją marihuany. Choćby George Soros przeznaczył 1 mln dol. na rzecz legalizacji, a Wałęsa i Szymborska podpisali list apelujący o zmianę polityki narkotykowej.**

- To prawda. Jednak ciągle daleko nam do Europy z humanizacją polskiego prawa narkotykowego. Niby chcemy niewiele, bo chcemy moc, tak jak nasi koledzy w Unii Europejskiej, hodować na własny użytek i nie być traktowanymi jak przestępcy tylko za to, że posiadamy trzy gramy marihuany. Okazuje się, że chcemy za dużo. Zresztą z mojego punktu widzenia przez prawo, jakie mamy, państwo traci pieniądze na bezsensowną, bo nieskuteczną pracę policji, prokuratury i sędziów. Patrząc na statystyki, mafia wpada bardzo rzadko, wpadają niedzielni użytkownicy, tacy jak moi koledzy.

**Wolne Konopie to nie jest sformalizowana organizacja. Może to jest błąd? Gdybyście się uparli, zwarli szeregi...**

- Nie jest sformalizowana, ale działa: bez pieniędzy, bez stałego lidera, bez zarządzania. Dzieli nas bardzo dużo: poglądy polityczne, podejście do współpracy. Raz więc udaje się nam zorganizować marsz na kilka tysięcy osób, innym razem w daną akcję zaangażują się tylko trzy osoby. Działamy w chaosie, od zrywu do zrywu. W większości nawet wzajemnie się nie znamy. Ale mamy jeden cel i to nas łączy. Kiedy dziesięć lat temu tworzyły się zręby Wolnych Konopi, na pierwszym oficjalnym spotkaniu było tylko 20 osób. Teraz na marsze w Warszawie przychodzi 12 tys. Paradoksalnie, im dłużej obowiązuje ustawa, w której za posiadanie grozi ci do trzech lat więzienia, tym walczących z zapisem ludzi jest więcej.

**W piątek spotykacie się przed Sejmem palić marihuane. Na Facebooku akcję poparło już kilka tysięcy osób. Po co chcecie to zrobić?**

- Chcemy sprawdzić, czy zmiana ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii, którą wprowadzono 1 kwietnia 2011 r., rzeczywiście działa. Wedle tej zmiany w pewnych okolicznościach prokurator, jeszcze przed wydaniem postanowienia o wszczęciu śledztwa, będzie mógł odstąpić od ścigania za posiadanie środków odurzających lub substancji psychotropowych. Chodzi o przypadek, gdy dana osoba posiada „nieznaczne” ilości narkotyków na własny użytek i nie jest dilerem. My właśnie tak chcemy zrobić. Mieć nieznaczną ilość i zobaczyć, co się stanie. I czy zmiana ta nie jest martwym zapisem.

**Ile masz lat?**

- 28.

**I z czego żyjesz?**

- Nie mam zawodu. Żyję z prac dorywczych. Pracowałem na budowach, montowałem dekoracje w filmie, teatrze, robiłem różne rzeczy. Z zawodu wyuczony, można powiedzieć, jestem rolnikiem (śmiech).

**Czytałam, że jesteś oskarżony o posiadanie 400 gramów...**

- Tak, jestem i czekam na rozprawę. Oczywiście zobaczymy, czy 400 gramów to jest ilość znaczna czy nieznaczna, ponieważ, jak wiadomo, to nie jest określone w prawie...

**Ale są orzecznictwa sądów i one mówią o tym, że 400 gramów to jest ilość przeznaczona na sprzedaż.**

- Może więc zostaną potraktowany jak diler i czeka mnie 12 lat więzienia? A może jako osoba używająca marihuany na własny użytek. Nie wiem. Przecież pałę od lat - te 400 gramów wystarczyłoby mi na dwa-trzy miesiące... **Warto tyle energii wkładać w zmianę stosunku prawa do marihuany?**

- Moim zdaniem warto, choć jestem już sfrustrowany. Zajmuję się tym tematem 12 lat,



# My, partia życia

Żeby być silnym krajem, musimy się wszyscy polubić. Utopia? Oczywiście tak, ale nie da się żyć bez utopii społecznej. Francuzi to mają, Włosi, Niemcy też. Nam również jest to niezbędne – mówi Romanowi Kurkiewiczowi **JANUSZ PALIKOT**

**Protesty przeciw ACTA w całej Polsce. I w Europie. Mamy rewolucję?**

– Takie przedwiośnie...

**Ale w Polsce te ruchy są najsilniejsze.**

– A wie pan dlaczego? Tu pana zaskoczę. Paradoksalnie jest to owoc tragedii smoleńskiej. Ludzie wtedy po raz pierwszy od dłuższego czasu zebrali się publicznie, żeby być razem w obliczu katastrofy. Potem były kontrprotesty przeciw upartyjnieniu dramatu przez PiS i Kościół. To wszystko czerpało energię i moc z tamtego zjednoczenia. Teraz uczestnicząc w kolejnych demonstracjach, widzę, że coś się w społeczeństwie przełamało. W zeszłym roku było 16 manifestacji Wolnych Konopi, największa w Warszawie zebrała ponad 10 tys. ludzi, najmniejsza – po półtora tysiąca, dwa. Zarówno prawicowe marsze 11 listopada, jak i Kolorowa Niepodległa, a wcześniej manify, kontrmanify pokazują zupełnie nowe zjawisko w Polsce.

**Związek ze Smoleńskiem jest dla mnie trudny do uchwycenia.**

**Te protesty mają charakter bardzo antysystemowy.**

– Ale ruch smoleński był tego wszystkiego początkiem. Do tej pory na ulicach Warszawy i innych miast widzieliśmy głównie związkowców, którzy z petardami i kilofami przychodzili walczyć o jakieś sprawy dla siebie. A tu jest coś nowego, pokoleniowego. Protestują ludzie wychowani po 1989 r., wchodzący w świat dorosłych, gdzie wszystkie miejsca zostały już zajęte. Skończyły się szanse, które dawała zmiana transformacyjna, nie ma jasnych ścieżek kariery. Państwo pozostawiło młodych samym sobie. Nie zdobyło się – zresztą tak jak wszystkie grupy polityczne rządzące w ostatnich latach – na program, który by tworzył nadzieję dla tego pokolenia. Ci ludzie najczęściej pracują na umowach śmieciowych, bez składki

na emeryturę. Wiedzą, że są skazani na 20, 30 lat tkwienia w jakiejś korporacji albo na wolnym rynku między różnymi instytucjami, bez szansy na zasadniczą zmianę swojego status quo. Ten zapalnik, jakim były ACTA, uruchomił w nich reakcję, mówiąc po marksistowsku, na pozycję ekonomiczną.

**To jest też pańska rewolucja?**

– Tak. Byłem na dwóch manifestacjach w Warszawie – przed pocztą, czyli przed Przedstawicielstwem Komisji Europejskiej, i później byłem przed Pałacem Prezydenckim. Na początku manifestacji przed pałacem, wbrew

” *Kościół nie jest w stanie narzucić żadnej myśli, nie ma żadnego biskupa, który dla młodych ludzi mógłby być jakimś punktem odniesienia.*

**JANUSZ PALIKOT**

temu, co potem media pokazywały, była ogromna owacja, my w całej tej grupie pokoleniowej jesteście liderem politycznym. Potem zbliżyli się kibice i oni atakowali mnie, że kiedyś wydawałem „Ozon”, a teraz jestem na lewicy. Muszę powiedzieć, że wahałem się, czy występować podczas tych wieców. Uważałem, że to powinno działać się samo, że nie musimy tam być. To zawsze niesie pewne ryzyko, że jak się już jest partyjnym działaczem, to ludzie przestraszą się, że mamy jakieś partyjne intencje. Szukając źródeł tych protestów, zwróciłbym uwagę na upadek roli Kościoła, zwłaszcza w tym pokoleniu i związanego z tym systemu wartości. Zostają ograniczenia, braki w wolności i konsumpcjonizm. Wcześniej

udawało się opanować tę młodzież przyszłościowym Tischnerem, dzisiaj tego nie ma. Dzisiaj Kościół nie jest w stanie narzucić żadnej myśli, nie ma żadnego biskupa, żadnego katolickiego przywódcy, który by dla tych ludzi mógł być jakimś punktem odniesienia.

**Środowisko prawicowej, katolickiej „Frondy” uznało, że występowanie przeciw ACTA jest nieodpowiednie dla katolików.**

– Zdumiewa mnie całkowicie świecki charakter tego ruchu.

**Czy nie jest tak, że protest rozlewa się i żyje własnym życiem, nie potrzebuje partii instytucjonalnych, nawet Ruchu Palikota? Uczestnicy sami zbierają podpisy za referendum, nie oglądają się na establishment.**

– Zbieramy podpisy na rzecz tych trzech studentów z Wrocławia. Wspólnie z Krystianem Legierskim przygotowujemy z zielonymi, seccjalistami, z różnymi partiami w Europie inicjatywę zbierania podpisów w krajach członkowskich Unii. Tak, żeby zgromadzić ich milion i na poziomie europejskim zablokować ACTA. Nie podczepiamy się, nie próbujemy stawiać na czele tej akcji, jak PiS.

**Ale widzieliśmy na zrzucie z profilu na Facebooku pańską deklarację z 20 stycznia za ACTA.**

– Ja takiej deklaracji nie złożyłem! To nie są moje wpisy, ktoś udaje Janusza Palikota, wpisuje się pod moim nazwiskiem. To jest brutalna chamska walka, w której przypisuje mi się nieprawdziwe intencje i poglądy.

**A czy w sprawie ACTA przewidujecie współpracę np. z PiS?**

– Jestem otwarty. Gdyby doszło mimo wszystko do ratyfikacji, to chciałbym współpracy z opozycją i z PiS, żeby przygotować kilka inicjatyw, które by zmniejszyły skutki negatywne umowy. Jedną z propozycji jest utworzenie funduszu misyjnego w Internecie, żeby do części dziedzictwa kultury, która jest niedostępna ze względu na prawa własności, rząd



→ wykupywał prawa i udostępniał ją – tak jak to zrobiła Telewizja Polska. Co by stało się złego, gdyby państwo przez taki fundusz misyjny udostępniało kulturę? Nic. Po drugie, proponujemy ustawę ograniczającą inwigilację, podsłuchy, billingi. I bardzo bym chciał, żeby także PiS, który jest przecież symbolem nadużywania władzy prokuratorskiej, to poparł.

**Jaka jest szansa na przeprowadzenie takiej operacji?**

– Platformie będzie trudno powiedzieć takiemu funduszowi „nie”. Nie wiem też, jak PO będzie argumentować przeciwko ograniczeniu czasu przechowywania billingów czy możliwości zaskarżenia decyzji o podsłuchach. To jest elementarny standard cywilizacyjny. Na koniec pewnie, widząc determinację Polaków, rząd przedstawi własny projekt. Ważne, żeby nie stało się tak, jak z nowelizacją ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii, która w sumie niczego nie załatwiła, chociaż zapowiadała. W tym przypadku zgłaszamy kolejną poprawkę, by wreszcie skończyć z tymi skandalicznymi wyrokami więzienia za posiadanie niewielkiej ilości trawy.

**Wybiera się pan przed Sejm na manifestacyjne wypalenie trawy? (wywiad z Andrzejem Doleckim z Wolnych Konopi na s. 14 – przyp. red.)**

– Tak.

**Władza nie lubi udostępniać informacji, lubi być tajemnicza, zaborcza. Kiedy był pan w Platformie, nie widział pan tego?**

– Nie dało się tego zobaczyć od wewnątrz. A przecież to wtedy powstały te najbardziej skandaliczne nowelizacje dotyczące na przykład Najwyższej Izby Kontroli, rozszerzające niezwykle jej uprawnienia kontrolne, bardziej niż jakichkolwiek służb. Nie usprawiedliwiam się. Powiem więcej i sam tu się obciążę pewną odpowiedzialnością. Po aferze Rywina i kryzysie państwa polskiego myślałem

– jak wielu ludzi w Polsce – że trzeba potrząsnąć całym systemem, wprowadzając większą odpowiedzialność, zwłaszcza osób publicznych. Teraz wiem, że politycy zawsze to wykorzystują nie do tego, by zwiększyć swobody obywatelskie czy obywatelską kontrolę nad instytucjami, tylko do wzmocnienia swojej politycznej kontroli nad tymi instytucjami. Wtedy uważałem, że tego typu instrumenty zwiększą bezpieczeństwo kraju. Przekonałem się, że jest

właśnie odwrotnie. Walka Stanów z terroryzmem czy walka w Polsce z korupcją, tak naprawdę w skali Polski i całego świata, zwiększyły kontrolę nad obywatelami – nad Amerykanami w Ameryce i Polakami u nas. Teraz musimy spróbować to odwrócić. To trudne, bo władza przyzwyczaja się do raz zdobytych narzędzi kontroli.



**„Gdybym szukał jakiejś nazwy dla Ruchu, to powiedziałbym, choć zabrzmiałoby to dwuznacznie, że jesteśmy partią życia.”**

JANUSZ PALIKOT

**Odkręcić można, zdobywając władzę... Z tym że w takich sprawach jak wojna z terroryzmem, interwencje w Iraku i w Afganistanie, tortury w tajnych więzieniach CIA, polityka narkotykowa mamy absolutny ponadpartyjny konsensus. Lęb w lęb idą Platforma z PiS i sld.**

– Mogę tyle powiedzieć, że jeśliby się potwierdziło, że były tajne więzienia CIA w Polsce, że torturowano w nich ludzi i że działo się to za zgodą Leszka Millera, to on nie może

być dla Ruchu Palikota jakimkolwiek partnerem politycznym. Mówię to z całą świadomością skutków politycznych tej wypowiedzi – nie możemy tolerować kogoś, kto się wypowiedział na więzienie w Polsce. Próbuje udzielić odpowiedzi, że to się odbyło poza Millerem, ale oczywiście prawie niemożliwe wydaje się, by premier w tym nie uczestniczył.

**Jak więc zjednoczyć lewicę? Eto jeśli nie z Millerem, to z kim? Jeśli nie z Kwaśniewskim, to z kim? Jeśli nie z internautami, którzy są z różnych stron politycznych i są absolutnie niesterowalni...**

– Z internautami i z Sierpniem '89, z Kampanią przeciw Homofobii, z Wolnymi Konopiami i Federacją na rzecz Kobiet, z częścią Kongresu Kobiet. Ja wciąż widzę tu miejsce dla Aleksandra Kwaśniewskiego. Nawet jeśli były w Polsce więzienia amerykańskie i torturowano ludzi, to odpowiedzialność za to zgodnie z konstytucją ponosi ówczesny premier, a nie prezydent. W najmniejszym stopniu nie wikałbym więc w to Kwaśniewskiego.

**Pytam o polityczną odpowiedzialność. Politycznej odpowiedzialności ze względu na brak determinacji ze strony po nie ponieśli Jarosław Kaczyński, Zbigniew Ziobro. Ani Miller za więzienia. I inni.**

– Złożyliśmy teraz wniosek o postawienie Zbigniewa Ziobro przed Trybunałem Stanu. Zobaczymy, co na to SLD, co na to Platforma. Ja obciążam Kwaśniewskiego i Millera odpowiedzialnością polityczną za wysłanie wojsk do Iraku, później do Afganistanu. Teraz widać u Tuska taką chęć bycia prymusem. Wysyłamy pierwszą, wysyłamy więcej, będziemy dłużej, chcemy mieć własną strefę. Tymczasem inne kraje negocjują przy tak dużych ruchach politycznych jak udział w operacji wojennej. Dla mnie jest szokiem, że wysyłamy ludzi na śmierć i nie podejmujemy żadnego wysiłku, by polskie państwo miało w tym jakiś realny interes. Będąc

jeszcze w PO, protestowałem przeciwko przedłużaniu pobytu wojsk w Iraku i Afganistanie. Gdyby to zależało ode mnie – mówię to publicznie – wycofaliśmy wojska z Afganistanu bez względu na konsekwencje.

**Czy Platforma jest w momencie zwrotnym, krytycznym? Sprawa ACTA ujawniła jej i premiera bezradność, arogancję, nieumiejętność rozmowy. Przy ACTA była pierwszy raz liczona**

**Nie zachwiała się wcześniej ani przy Smoleńsku, ani przy kryzysie czy powodzi...**

– Problem tkwi w Tusku i w Platformie. Oni po prostu nie wiedzą, po co wygrali kolejne wybory, poza tym, że chcieli osiągnąć wynik sportowy, trafić do encyklopedii, mieć dwie kadencje pod rząd. Ale na pytania, po cośmy wygrali, jaką Polskę będziemy tworzyli, co będziemy w niej robili, oprócz utrzymania się przy władzy, odpowiedzi nie ma. Tusk, który jest jednak jakimś czarodziejem, czarował polską opinię przez tyle lat, w swoim ostatnim exposé nie przedstawił żadnego pomysłu na ożywienie polityczne, na drugą falę przedsiębiorczości, na jakieś przełamanie tego impasu biurokratycznego, żadnego pomysłu na zbudowanie kapitału społecznego. I żadnego pomysłu dla tej młodzieży, ludzi, którzy się wychowali, mają teraz po dwadzieścia kilka lat i startują w życie.

**I dlatego Janusz Palikot idzie po władzę? – I maja chcemy przedstawić własny projekt na Polskę. Cały czas proponujemy zmiany, np. w tych dniach nowelę Kodeksu postępowania karnego, zwłaszcza na etapie postępowania przygotowawczego. Złożyliśmy już kilkanaście projektów zmian ustaw. Ale 1 maja chcemy zrobić tak zwaną całościową korektę kapitalizmu, to będzie dwadzieścia kilka projektów ustaw.**

**Czyli będzie pan nadkruszał kapitalizm. Kapitalizm tak, wypaczenia nie...**

– Tutaj tak naprawdę chodzi o socjaldemokratyzację kapitalizmu. Polska jest krajem kapitalistycznym, neoliberalnym. Trzeba szukać drogi bliżej Francji, Niemiec, Skandynawii. Nie ma w nas nic z tego ładu, który powinien z „Solidarności” – i jako ruchu społecznego, i z sensu tego słowa w Polsce – się jakoś zakorzenić. Każdy obywatel powinien mieć prawo do błędu. Gąszcz przepisów i różne inne okoliczności powodują, że ludzie czasami podejmują taką, a nie inną interpretację jakiegoś przepisu podatkowego. Proponujemy, że każdy może po podjęciu jakiejś decyzji zażądać urzędu skarbowego, że on tak, a tak rozumie zobowiązania, np. z tytułu VAT od tego czy tamtego. I gdyby się okazało, że źle rozumiane powiadomienie urzędu skarbowego zwalnia go z karnych odsetek. Druga grupa to tak zwane prawa ostatniej koszuli: że człowieka nie można zlicytować poniżej dziesięciu metrów kwadratowych na członka rodziny, że w postępowaniu egzekucyjnym banku nie można złożyć oferty gorszej niż umowa kredytowa, że jeżeli ktoś nie jest w stanie w ciągu 20 lat spłacić kredytu, bo raty są za wysokie, to mu się przedłuża ten okres o 10 lat. Chcemy

zapropnować zachęty dla młodych do otwierania firm, żeby potroić albo nawet pięciokrotnie zwiększyć liczbę studentów prowadzących własną działalność gospodarczą. Dzisiaj powstaje mniej firm, niż jest zamykanych. To niebezpieczne zjawisko.

**Kiedy i jak dokonała się w panu ta przemiana z Szawła kapitalizmu i biznesu w Pawła socjaldemokracji? Któremu Palikotowi wierzyć i dlaczego?**

– Najpierw była tragedia smoleńska. Uchodziłem wtedy za człowieka, który zabił Lecha Kaczyńskiego, zaszczuł go swoimi atakami politycznymi. Ludzie na ulicy pluli na mój widok, żegnali się znakiem krzyża. Koledzy z PO, łącznie z premierem, nie spotykali się ze mną, przez miesiąc byłem człowiekiem niewidzialnym. Jednocześnie Grzegorz Schetyna podjął próbę wyrzucenia mnie z szefa struktur w województwie lubelskim PO. A ja wygrałem. Po drugie, zobaczyłem też, jaką niesamowitą rolę ma Kościół, jak destrukcyjną dla emocji społecznych. Te dobre zostały szybko przekształcone na taką kościelno-pisowską modłę i widziałem, że Tusk nie ma odwagi temu się przeciwstawić. Wreszcie ta kuriozalna decyzja o pochowaniu Lecha Kaczyńskiego na Wawelu. Mnie się nie mieściło w głowie, żeby tak słabego prezydenta pochować w tym miejscu. Moja przemiana to było też przeżycie osobiste, bycia na krawędzi. Obawa, że mogę zniknąć, przestać być, że mogę stać się kozłem ofiarnym. Byłem też przekonany, że PO da się zmienić. Gdy w końcu uznałem, że jest niereformowalna, odszedłem. To była moja decyzja.

**Czy istnieje Ruch Palikota, czy ruch przy Januszu Palikocie?**

– Jest Ruch, a nie Janusz Palikot. Wanda Nowicka, Robert Biedroń, Anka Grodzka, ale także Zosia Popiołek czy Michał Kabaciński to są ludzie, którzy – z tej pierwszej trójki każdy – mogliby być szefem partii, jeżeli chodzi o ich kwalifikacje merytoryczne czy intelektualne. Wanda Nowicka rozpoczyna taki wielki program „Sejm przyjazny dla kobiet”, ona przez te 20 lat potrafiła pokazać, że potrafi walczyć właśnie o sprawy kobiet i że ona będzie z tej pozycji jednak wicemarszałkini Sejmu przez te cztery lata konsekwentnie to realizować. Chciałbym, by ta grupa się ustabilizowała merytorycznie, rozwinęła, nauczyła funkcjonowania w mechanizmach pracy legislacyjnej. **Budujecie wsparcie intelektualne dla partii?** – Tak, tworzymy think thank, który organizuje Krzysztof Iszkowski. Będziemy przeznaczali 5, 10 proc. z naszych dotacji budżetowych na jego rzecz.

**Już dostaliście pieniądze?**

– Nie, nie dostaliśmy ani złotówki, do maja prawdopodobnie nic nie dostaniemy. To jest pół biedy, ale nawet kredytu nie możemy wziąć, bo nas ciągle blokują...

**Oni?**

– No, oni. Proszę mi powiedzieć, dlaczego PKO BP, bank państwowy, daje kredyt Platformie, a Ruchowi Palikota nie. Może mi pan odpowiedzieć na to pytanie?

...

– A dlaczego BGŻ daje PSL, a Ruchowi Palikota nie?

**Może powinien pan mieć swój bank? A co usłyszemy 1 maja o wizji Polski przesuniętej na lewo, bardziej czerwonej, bardziej zielonej, bardziej tęczowej?**

– To będzie takie wielkie exposé.

**Do tego panu potrzebna władza czy jednak jeszcze po coś?**

– Dla mnie władza jest narzędziem, nie celem samym w sobie. Tak jak pieniądź, bo pozwala kupić coś, pojechać gdzieś, kogoś poznać, coś zobaczyć. Władza pozwala uruchomić procesy społeczne.

Chciałbym żyć w kraju, w którym jest akceptacja dla siebie nawzajem. Może to jakoś wyrasta z moich kompleksów biłgorajskich czy jeszcze Bóg wie z czego. Jesteśmy pokaleczeni przez życie i niezbędne jest dla nas wyjście z tego poranienia, z tych wszystkich powstań, zaborów, całej martyrologii. Uwolnienie z tego polskiej duszy i odetchnięcie powietrzem pełnym życia, radości. Gdybym szukał jakiejś nazwy dla Ruchu, bo często się nas o to pytają, powiedziałbym, choć zabrzmiałoby to dwuznacznie, że jesteśmy partią życia. Ale w takim nietzscheańsko-bergsonowskim znaczeniu, a nie Klubu Inteligencji Katolickiej. Partia życia, czyli czuć radość, wolność i równość życia tu na ziemi, i wywołać to w naszym kraju.

**Tęsknota za utopią.**

– Wszystkie utopie oczywiście na ogół wywołały więcej kłopotów, niż przynosiły osiągnięć, ale z drugiej strony nie da się żyć bez utopii społecznej. We Francji czy Włoszech ludzie to mają, może Niemcy są tutaj bardziej odpowiedzialni, ale mają dla siebie wielką akceptację. My to musimy zbudować, potrzebujemy wielkiej akceptacji dla siebie nawzajem w Polsce. Możemy do tego dochodzić z różnych stron, ale to jest jakoś na końcu niezbędne. Żeby być silnym krajem.

**Za te trzy lata, trzy i pół roku wygracie wybory?**

– Tak, za trzy lata wygramy wybory. Jestem o tym przekonany.

rys. Marta Ignerska (2)

# Prawo i niesprawiedliwość

Ostatnio mamy do czynienia z serią porażek prokuratury – głośne procesy kończą się uniewinnieniem, akty oskarżenia uznawane są za bezzasadne. A jednak to prokuratorzy triumfują

ADAM BODNAR

W ostatnich tygodniach toczy się dyskusja na temat wewnętrznego kryzysu w prokuraturze, rozdziału urzędu ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego oraz zasadności utrzymywania prokuratury wojskowej. Są to problemy, które wymagają refleksji. Do zainteresowania nimi niewątpliwie przyczyniło się „wydarzenie” z udziałem prokuratora Mikołaja Przybyła.

Niestety aż takiego poziomu „medialności” nie mają inne przypadki z życia prokuratury, dotyczące pojedynczych osób oraz ich złamanych (lub na jakiś czas załamanych) życiorysów. W ostatnim roku mieliśmy do czynienia z całą serią spektakularnych porażek prokuratury. Ważne sprawy kończyły się uniewinnieniem, a akty oskarżenia uznawane były za oczywiście bezzasadne. Jeszcze w innych prokuratura kierowała do sądu akty oskarżenia, które z góry skazane były na porażkę – tak, jakby chciała się pozbyć gorącego kartofla i wreszcie coś zrobić z niechcianą sprawą, którą kiedyś ktoś politycznie rozpoczął, a nikt nie chciał zaryzykować jej umorzenia.

Przykre jest, że opinia publiczna nie zajmuje się tymi historiami, dziennikarze nie śledzą, który z prokuratorów zawinił, dlaczego prokuratura popełniła błąd oraz jak go uniknąć w przyszłości. Gdyby każdej z tego typu spraw poświęcić choć 10 proc. czasu antenowego, jaki dany był prokuratorowi Przybyłowi, miałyby to o wiele większe znaczenie dla



Prof. Jan Podgóski, neurochirurg, po czterech latach uniewinniony z zarzutu korupcji



Były minister Emil Wąsacz, od sześciu lat toczy się przeciw niemu sprawa przed Trybunałem Stanu



Jan Widacki, adwokat, po czterech latach procesu zarzuty uznano za bezzasadne



Jacek Dubois, adwokat, uniewinniony z zarzutów po sześciu latach

ogólnego stanu praworządności w Polsce. Niestety w większości przypadków ofiary pozostawione są same sobie. Muszą zastanawiać się, jak przywrócić „własnoręcznie” utracone dobre imię. No bo przecież prawomocny wyrok uniewinniający nie jest dla wielu z nich wystarczający – skoro media w najlepszym przypadku odnotują go gdzieś na piątej czy szóstej stronie gazety codziennej, ewentualnie poświęcą mu program publicystyczny. Dla mediów znacznie ciekawsze było, kiedy dana osoba publiczna została oskarżona. Łatwiej poszukiwać skazy na charakterze, ująć na honorze czy śledzić upadek kolejnego autorytetu, niż relacjonować zawiły proces.

Przyjrzyjmy się kilku takim głośnym sprawom. Wybór ten jest selektywny, podobne problemy miało wiele innych osób. Jednakże te sprawy – dotyczące osób znanych i powszechnie szanowanych – są szczególnie świadectwem poważnej choroby prokuratury. Ich spektakularny charakter powinien być ciosem wymierzonym w dotychczasowe funkcjonowanie prokuratur, owocuującym głębokimi zmianami.

## Oczywiście niewinny

Adwokat Jacek Dubois – pochodzący ze znakomitego rodu prawniczego – został w 2005 r. oskarżony o utrudnianie śledztwa wobec osób podejrzewanych o działalność przestępczą. Miało to polegać na przekazywaniu im

informacji ze śledztwa, zanim formalnie został ustanowiony ich obrońcą. Pomimo że za mecenasem Dubois wstawiły się liczne osoby i instytucje, a postawione zarzuty były powszechnie uznawane za absurdalne, proces ruszył i toczył się przez wiele lat. Dopiero w 2011 r. adwokat został uniewinniony, a sąd w ustnym uzasadnieniu potwierdził, że sprawa w ogóle nie nadawała się do sądu, a zarzuty były oczywiście błędne. Adwokat jednak przez sześć lat żył pod pręgierzem oskarżenia. Po ogłoszeniu wyroku w jego sprawie stwierdził: „Mam nadzieję, że prokurator generalny, widząc, że jego urząd nie ma twarzy, zapyta, dlaczego w ogóle skierowano to oskarżenie”. Niestety nie uzyskał nigdy odpowiedzi na to pytanie.

Jeszcze innym przypadkiem jest sprawa Emila Wąsacza, który został oskarżony o popełnienie przestępstwa działania na szkodę interesu publicznego w związku z rzekomymi zaniechaniami przy prywatyzacji PZU. Sprawa toczy się od 2006 r. Niedawno Sąd Okręgowy w Warszawie postanowił zwrócić prokuraturze akta postępowania przygotowane wcześniej, twierdząc, że na ich podstawie nie można przeprowadzić procesu. Janina Paradowska w liście otwartym do prokuratora generalnego („Polityka” nr 3/2012, str. 8) wyliczyła skwapliwie, co m.in. wchodziło w skład 27 tys. kart akt głównych, ile było w tym zbędnych i przypadkowych dokumentów. Nietrudno się domyślić, że prokuratura wysłała po prostu wszystkie

to, co miała w szafach, a tym samym pozbyła się problemu. Tylko że sąd się na to nie dał złapać. Efekt jest taki, że sprawa na tym etapie nadaje się do programu satyrycznego. Zapewne wciąż nie do śmiechu jest Emilowi Wąsaczowi, bo dla niego nie jest zakończona. A odwagi na jej umorzenie najwyraźniej w prokuraturze brak.

Jeszcze inny przypadek to zatrzymanie w 2007 r. przez CBA znanego neurochirurga prof. Jana Podgóskiego i oskarżenie go o korupcję. Sprawa skończyła się uniewinnieniem przez sądy dwóch instancji, potwierdzonym przez Sąd Najwyższy. W lutym 2011 r., po ostatecznym wyroku SN, prof. Podgóski powiedział: „Sąd obronił honor lekarzy. Przed wyrokiem wyszedłem z sali operacyjnej i teraz na nią wracam.” Sprawa okazała się wielką kompromitacją dla organów ścigania i na kilka lat przekreśliła karierę zawodową znanego na świecie specjalisty.

Wreszcie przypadek prof. Jana Widackiego. W liście otwartym opublikowanym w dniu 22 stycznia 2012 r. prof. Widacki opisał prawomocny wyrok uniewinniający go od zarzutu popełnienia przestępstwa nakłaniania do fałszywych zeznań i utrudnianie postępowania. Podstawą oskarżenia były zeznania skruszonego przestępcy, którym prokuratura nadmiernie zawierzyła (a może motywowana politycznie bardzo chciała uwierzyć?). Sąd Okręgowy dla Warszawy-Pragi uznał akt

oskarżenia za oczywiście bezzasadny. Stało się to po czterech latach od postawienia zarzutów. Co jednak jest szczególnie ciekawe – w 2009 r. w prokuraturze krajowej rozważano odstąpienie od aktu oskarżenia, ale jednak tego nie zrobiono. Sprawę pozostawiono biegowi sądowemu. Co więcej, jedna z notatek urzędowych z tego czasu zapowiadała wszczęcie postępowań dyscyplinarnych i służbowych wobec odpowiedzialnych prokuratorów za prowadzenie sprawy. Z pytań retorycznych prof. Widackiego wyrażonych w liście otwartym można wywnioskować, że to w ogóle nie nastąpiło.

## Przedawnienie kontra umorzenie

Powyższe sprawy – formułowane listy otwarte oraz pytania pod adresem prokuratora generalnego – ilustrują dość ograniczone możliwości, które mają „ofiary” działań (czy zaniechań) prokuratury po zakończonych z sukcesem procesach. Teoretycznie po tak spektakularnych oskarżeniach czy uniewinnieniach posiadają one wiele możliwości doprowadzenia do sprawiedliwości. Teoretycznie.

Odpowiedzialność karna prokuratorów? Teoretycznie jest możliwa, ale wymagałaby wykazania, że konkretny prokurator nadużył powierzonej mu władzy. Jeśli robił wszystko w zgodzie z Kodeksem postępowania karnego, a tylko popełniał błędy w analizie materiału

dowodowego (czy wyciągał zbyt daleko idące wnioski) – trudno jest taką osobę postawić przed sądem. Odpowiedzialność dyscyplinarna? Także jest możliwa. Ale statystyki wskazują, że prokuratorzy rzadko ją ponoszą. Helsińska Fundacja Praw Człowieka i Forum Obywatelskiego Rozwoju przygotowały na ten temat specjalny raport. Co więcej, czas płynie. Jeżeli postępowanie karne wobec danej osoby toczyło się przez kilka lat (co w polskich warunkach jest normą), to w tym samym czasie ewentualna odpowiedzialność dyscyplinarna mogła ulec przedawnieniu. Takie przepisy.

Odpowiedzialność służbowa oraz brak awansu? Również są możliwe. Ale zależą od wewnętrznych układów w prokuraturze. Warto pamiętać, że sprawy nie są prowadzone przez jedną osobę, a często przez wieloosobowe zespoły. Prokuratorzy się zmieniają, czasami nawet co kilka miesięcy. A jeśli sprawa była jeszcze dodatkowo nadzorowana, a nadzorujący prokurator nie dostrzegł problemów, to wtedy odpowiedzialność

obarcza w pewnym stopniu także jego. Dlatego po prostu może się nie opłacać nikomu szukać kozłów ofiarnych, bo wina rozłożona jest na zbyt wiele osób z różnych szczebli prokuratury.

Odpowiedzialność cywilna? Także jest możliwa. Ale wtedy osoba, dla której traumatyczny okres się skończył uniewinnieniem, naraża się na kolejny żmudny proces, którego wynik nie jest aż tak oczywisty. Trzeba bowiem wykazać bezprawność działania prokuratury. Jeżeli nie ma na to twardych dowodów, może się to nie powieść. Co więcej, osoby te muszą się nastawić, że wcale nie będą się zmagać z daną jednostką prokuratury, ale ze specjalistami od chronienia państwa od odpowiedzialności odszkodowawczej – Prokuratorią Generalną Skarbu Państwa. Zamiast zatem realizacji potrzeby zemsty mogą wejść w dług i nie do końca satysfakcjonujący proces.

Co zatem pozostaje? Tak naprawdę jedynie to, co jest zależne od woli prokuratora generalnego. Coś, co może przywrócić zaufanie pokrzywdzonego obywatela do własnego państwa. Coś, co nie stało się jeszcze niestety standardem naszego życia publicznego.

Co to jest? Magiczne słowo „przepraszam”.

dr Adam Bodnar jest wiceprezesem zarządu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka oraz adiunktem w Zakładzie Praw Człowieka Wydziału Prawa i Administracji UW

# Pierdołę, nie rodzę

Kiedy cień podejrzenia o dzieciobójstwo pada na młodą dziewczynę, wariuje cały kraj. Kiedy facet bez żadnych skrupułów katuje i zabija swojego synka, nic się nie dzieje

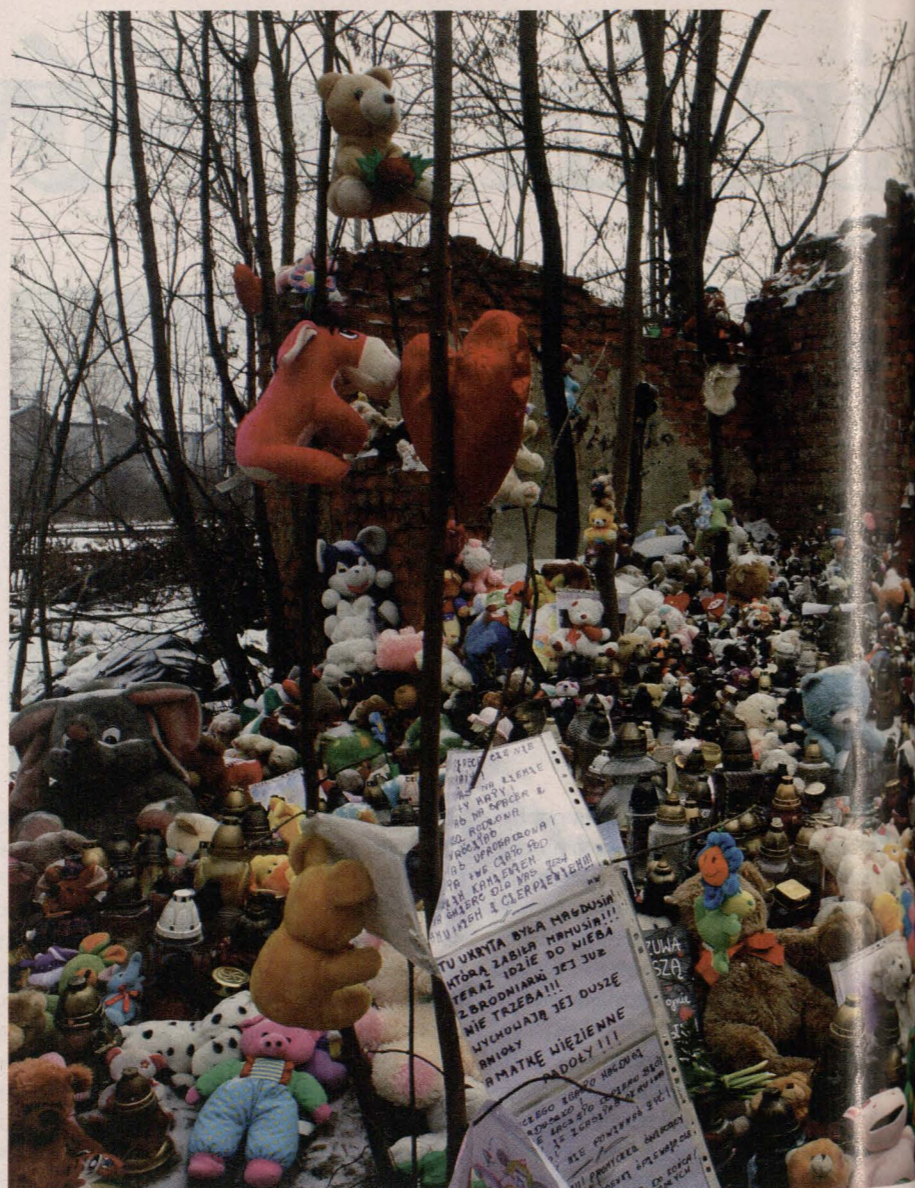
HANNA GILL-PIĄTEK

**K**ilkanaście lat temu wraz z modą na New Age ukazały się w Polsce tłumaczenia książek pewnego francuskiego maga – Rogera de Laforesta. Autor „Domów, które zabijają” raczył w nich czytelników setkami praktycznych porad magicznych użytecznych w każdej sytuacji. Wśród nich znalazł się też prosty przepis na umiejętność lewitacji.

Szło to mniej więcej tak: weź płaski kamień, połóż go na szafie. Codziennie przez kilka miesięcy budź się w czasie najgłębszego snu około 4 w nocy i bez gniewu lub zniecierpliwienia obracaj go na drugą stronę, po czym wróć do łóżka i zaśnij. Po tym treningu adept sztuk tajemnych miał osiągnąć siłę woli pozwalającą na swobodne bujanie w powietrzu na każde pstryknięcie. Ten cudowny przepis wpadł mi w ręce akurat wtedy, gdy urodziłam dziecko, mając 21 lat. Wstając do ryczącego niemowlaka pięć, sześć razy każdej nocy, przewijając, karmiąc go bez gniewu i zniecierpliwienia, wedle bajeczki Laforesta powinienam po dwóch miesiącach latać jak concorde.

## Pierwsza zimna suka III RP

„Bardzo trudno jest komuś, kto dziecka nie ma lub nie może się na nie zdecydować (...), wytłumaczyć, jak wspinałym doświadczeniem jest posiadanie dziecka i co go ominęło” – poucza patriarchalnie na swoim blogu Daniel Passent dwie kobiety, Magdaleny Środę i Marię Czubaszek, bo niesforne panie śmiały publicznie pisać, że świadoma bezdzietność być może też jest jakimś rozsądnym życiowym wyborem.



Otóż, może dla zdecydowanej większości, do której pan Passent ma szczęście należeć, posiadanie dzieci jest darem niebios i złotą manną. Ślicznego bobaska kocha się przecież bezwarunkowo i od pierwszego wejrzenia, a całodobowa opieka nad nim jest najmiłą czynnością na świecie. Jest to pogląd niepodlegający w Polsce żadnej dyskusji. Na jego straży stoją armaty tradycji, presji społecznej, biologii czy normatywności.

Obfite rodzicielstwo jest jedyną słuszną narracją państwa w zakresie coraz gorszych prognoz demograficznych i – co za tym idzie – wysokości naszych przyszłych emerytur. Róbcie dzieci, są takie fajne, a poza tym inaczej nie będzie was miał kto utrzymać na starość. Tak jakby nie można było prowadzić na przykład bardziej otwartej polityki imigracyjnej.

Poza tym obszarem różowego fikaja czegoś nie ma szczęścia w zbiorowej świadomości nie ma nieje tylko nieznaną teren zagrożenia i abstrakcji. Na wszelkie odstępstwa od modelowego wzorca rodzicielskiego opinia publiczna reaguje atawistyczną agresją, której siła ma prawdę niepokoi. Maria Czubaszek kilka godzin po swojej wypowiedzi została koronowana na pierwszą „zimną sukę” III RP. Ale to nic w porównaniu z tym, co z ciemnych głębin polskiej duszy wyłało się na Kasie z Sosnowca, która właściwie nigdy nie będzie jedną osobą, Kasia, a tylko „matką tragicznie zmarłej Madzi”. Festiwal nienawiści i psychicznej przemocy, jaki w ciągu kilku dni ogarnął społeczeństwo i media, świadczy dobitnie o istnieniu nienaruszalnego tabu szczęśliwej matki Polki. Każdy cień podejrzenia natychmiast



zmienia się w pewność, każde domniemanie staje się winą. Uprawniona jest też każda przemoc: dziennikarzy budujących własne nazwiska, detektywa, który z wyrachowaniem naruszył wszelkie dozwolone reguły śledztwa, nadużywając zaufania dziewczyny, autorytetów, które przez tydzień lansowały w mediach sprzeczne portrety psychologiczne i inne dziwne teorie, w końcu ekspertów, którzy na podstawie wieloletnich doświadczeń (jakich?) nie wierzą w śliskie kocyki.

Nie każda miłość do dziecka jest oczywista. Czubaszek jest dorosłą i inteligentną kobietą, nie można jej ot, tak przywalić, bo jeszcze się odwinie. Kasia z Sosnowca pochodzi z prostej wierzącej rodziny o niskim kapitale kulturowym. Jest młoda i – jak zauważa prof. Zbigniew Mikołajko

wątek reprodukcji przemocy przez kobietę, która przeżyła Holocaust.

Niestety, jak zawsze zdecydowanej większości czczącej matko-polski totem szczęścia towarzyszy niechciana mniejszość, która nawet jeśli czci, to jakoś tak niemrawo, z rezerwą i bez entuzjazmu. Bo pewnych rzeczy nie można powiedzieć głośno. Na przykład tego, że macierzyństwo, zwłaszcza wczesne i samotne, jest dla niektórych kobiet zbyt trudnym doświadczeniem. Nie wszystkie dzieci rodzą się łatwo i są grzecznymi aniołkami śpiącymi po 16 godzin. Nie każda miłość do dziecka jest od początku oczywista.

Ból przy porodzie, na uśmierzenie którego stać tylko tych bardziej zamożnych, naruszenie granic ciała przez przedmiotowo traktującą kobietę personel medyczny, konieczność

– właściwie sama jest jeszcze dzieckiem. Zatem można bezkarnie bić w nią, obnażać ją psychicznie, prowadzić na niej skomplikowane wiewsekcje w świetle kamer. Można się łatwo ponad nią wynieść i pluć z wysockości. Można zrobić z niej cel narodowego nadużycia, bo kiedy w tym kraju stoi się po stronie ofiary, każda przemoc jest święta. Akurat ta cecha jest następnym nieprzesuwalnym kamieniem w naszej kulturze. Widać ją na przykład w zdystansowanym stosunku niektórych intelektualistów do działań Izraela w konflikcie z Palestyną, widać nawet w wyborach jury nagrody Nike, które zdecydowanie woli grzeczną czytanekę Słobdzianka o krzywdzie Żydów z Jedwabnego od „Utworu o matce i ojczyźnie” Keff-Umińskiej, gdzie pojawia się

przełamania barier wstydu i intymności, terror laktacyjny narzucający jedynie słuszny sposób karmienia. Potem całe miesiące krańcowego zmęczenia fizycznego, braku snu i rosnące kłopoty materialne, bo statystyki jasno pokazują, że jedną z najlepszych recept na popadnięcie w biedę jest w Polsce posiadanie potomstwa. Wielodzietność czy urodzenie niepełnosprawnego malucha właściwie gwarantują ubóstwo. Presja rodziny, która zawsze wie lepiej i przy świętecznym stole gorliwie poucza młodą matkę, wytykając jej liczne błędy. Poczucie samotności, nawet jeśli się mieszka w domu pełnym ludzi, bo nie zawsze jest to równoznaczne z realną pomocą. To wszystko naprawdę potrafi sprawić, że najbardziej odporny psychicznie człowiek schodzi do biologicznego poziomu reakcji zagrożonego do rogu zwierzęcia. I żadne mądre gadki o etyce, żadne autorytety nie są tu w stanie pomóc. Jesteś tylko ty i ono. Matka i dziecko. I jeśli nie jesteś w szczęśliwym klubie bezwarunkowo kochającego rodzica im. Daniela Passenta, masz problem. Bo naprawdę nie możesz nikomu o tym powiedzieć.

## Wydarzyło się w mieście Łodzi

Zaraz dostanę po głowie, że utożsamiam rodzicielstwo z macierzyństwem, odstawiając na bok wszystkich ojców. Już tłumaczę dlaczego. Równoległe ze śmiercią Magdy zabito inne dziecko. W Łodzi na ulicy Wersalskiej pewien pan wszedł do domu z siekierą i długo pracował, zanim zarząbał swojego 12-letniego syna, przy okazji ciężko raniąc pięcioletnią córeczkę. Zrobił to, ponieważ podejrzewał żonę o niewierność. Słyszeliście o tym? No właśnie. Kiedy cień podejrzenia o dzieciobójstwo pada na młodą dziewczynę, wariuje cały kraj. Kiedy facet bez żadnych skrupułów katuje i zabija swojego synka, nic się nie dzieje. To jest przecież takie normalne i nikogo nie dziwi. Dzieci w powszechnej świadomości to coś w rodzaju biologicznego ogona matki – chcesz się zemścić na niej, dołóż im. Niech rzuci kamień w to zdanie ten, kto nie zna ojców znikających na całe lata po burzliwym rozwodzie. Istnieje przyzwolenie na to, że nie każdy mężczyzna kocha swoje dzieci. Kobieta kochać musi.

8 marca idę na manifest ubrana w koszulkę z hasłem „Pierdołę, nie rodzę”. Nie tylko w okazji otwarcia Stadionu Narodowego im. Niewybudowanych Żłobków i Przedszkoli czy dorżnięcia reformą liceów resztek edukacji. Po prostu do reszty mi się odechciało po tym, co widziałam w mediach przez ostatnie dni. I wiem, że tego nie zmienię, choćbym umiała lewitować.

# Humanistyka humanum est

Od tygodnia słyszymy lament nad upadkiem szkolnictwa średniego. Rzecz w tym, że katastrofa już się wydarzyła i musimy podjąć walkę o historię. Potrzebna jest nie reforma, a rewolucja

PIOTR LASKOWSKI

**M**edia rozpaczają nad za-  
paścią - ba, katastrofą  
cywilizacyjną - która  
nieubłagana przybliża się wraz  
z 1 września. Tego dnia w liceach  
zacznie obowiązywać nowa pod-  
stawa programowa. Ofiarą refor-  
my miałyby paść przede wszyst-  
kim historia - praktycznie wyru-  
gowana z liceum, pozostawiona  
jedynie nielicznym zdetermino-  
wanym, by się nią zajmować.  
Zmiany są rzeczywiście znacz-  
ne. Czy powinniśmy się im prze-  
ciwstawiać?

Problem leży gdzie indziej i do-  
tyczy czego innego, niż sądzą  
przeciwnicy obecnej reformy. Tak,  
musimy podjąć walkę o historię,  
czy szerzej humanistykę w pol-  
skich szkołach - ale nie z tych po-  
wodów i nie tak rozumianą, jak  
chcieliby krytycy nowej podsta-  
wy. Sens zmian wchodzących  
w życie jesienią (stanowiących  
kontynuację reformy z 2009 r.)  
daje się streścić następująco: za-  
miast dwóch trzyletnich cykli  
nauczania humanistyki (gimna-  
zjum i niemal to samo jeszcze raz  
w liceum) wprowadzony zostaje  
system, w którym pierwsza klasa  
liceum staje się ostatnim etapem  
czteroletniego cyklu, czyli obej-  
muje historię XX w.

W klasie drugiej i trzeciej li-  
cealiści wybierają profile wedle  
zainteresowań. Jedni zawężają  
przedmioty przyrodnicze i roz-  
szerzają humanistyczne, drudzy  
- przeciwnie. Humanisci wracają  
wówczas na historię do dziejów  
wcześniejszych, przyrodnicy zaś  
uczą się jej w ramach bloku „hi-  
storia i społeczeństwo”. Warto

podkreślić, że w tym bloku histo-  
rii uczy się już nie w kluczu chro-  
nologicznym, lecz problemowym,  
wybierając spośród ścieżek takich  
jak „swojskość i obcość”, „nauka”  
czy „rządzący i rządzeni”.

## Jak nie uczyć historii

Atak na reformę prowadzo-  
ny z pozycji konserwatywnych  
daje się sprowadzić do kon-  
statacji, że niektórzy uczniowie  
„po raz ostatni” będą się  
uczyć o bitwie pod Grunwaldem,  
mając lat 13. Atak ten wy-  
nika z przekonania o formacyj-  
nej roli historii. W takim ujęciu

jest ona fundamentem wspól-  
noty narodowej, dlatego musi  
być opowiadana jako dzieje na-  
rodu i państwa - momenty zbio-  
rowej wielkości i słabości. Mate-  
riał nauczania obejmuje przede  
wszystkim bitwy, traktaty poli-  
tyczne, powstania. Jeśli gospodar-  
kę - to jako sukces narodu uciele-  
śnionego we Władysławie Grab-  
skim, jeśli kulturę - to „złoty wiek”  
jagielloński i kaplicę Zygmuntow-  
ską na Wawelu. Do tego, jako kon-  
tekst, trochę dziejów Europy, też  
- rzecz jasna - politycznych.

Tak przeważnie naucza się dziś  
historii w Polsce i czas wyraźnie  
powiedzieć, że im szybciej z tym  
sposobem nauczania i myślenia  
skończymy, tym lepiej. W nim  
bowiem tkwią korzenie głębo-  
kiego kryzysu naszej humani-  
styki. Zachowawcze podejście  
do historii czyni ją nieatrakcyj-  
ną i abstrakcyjną.

Nic też dziwnego, że rok w rok  
Centralna Komisja Egzaminacyj-  
na raportuje, iż najtrudniejszym  
elementem matury z historii oka-  
zało się wypracowanie. Eksperti  
Instytutu Badań Edukacyj-  
nych zasugerowali, że słaba ja-  
kość prac wynika ze sposobu jej  
nauczania: przekazywania roz-  
ległej, a jednocześnie szczegó-  
łowej wiedzy, która umożliwi-  
łaby uczniom „szybkie kojarze-  
nie postaci, dat i wydarzeń”. Pod-  
kreślili też, za CKE, niski poziom  
umiejętności komunikacyjnych  
i analityczno-literackich uczniów.

Nie tylko jednak o wymogi  
erudycyjne i brak umiejętności  
tu chodzi, lecz o całkowitą obo-  
jętność maturzystów i maturzy-  
stek wobec zagadnień, o których  
piszą. Żeby ocalić humanistykę,

musimy zrozumieć powody tej  
obojętności.

## Komu służy pisanie

Konserwatywna wizja historii nie  
broni się na gruncie nauk histo-  
rycznych. Ma mało wspólnego  
z tym, jak po II wojnie światowej  
uprawia się historię. Współcześnie  
daleko odeszliśmy od XIX-wiecz-  
nej wizji „historyka neutralnego  
badacza”, pracowicie odkrywają-  
cego i osądzającego prawdę o prze-  
szłości. Znaczna część refleksji  
dotyczy dziś pytania, co tworzą  
narrację historyczną, odkrywamy  
a co wytwarzamy. I komu nasza  
działalność służy. Historycy i hi-  
storyczki na całym świecie pod-  
dają własną pracę etycznej refleks-  
ji. Przede wszystkim kwestionują  
tradycyjny sposób pisania historii  
- wielkie narracje, koncentrujące  
się wokół narodu i państwa. Do-  
strzegają uwikłanie tak rozumia-  
nej historiografii w podtrzymywa-  
nie istniejących stosunków władzy.

Ta ogromna praca intelektualna  
niemal całkowicie umyka z pola  
widzenia polskiej szkoły (jej echa  
pobrzmiwają jedynie we wspo-  
mnianym już bloku zajęć dla przy-  
rodników). W zamian mamy ma-  
lioni złotych ładowane w rekones-  
trukcje bitew czy publikacje  
Instytutu Pamięci Narodowej po-  
święcane represjom UB wobec Ko-  
ścioła katolickiego w powiecie No-  
kim. W ten sposób nie podtrzymu-  
ją się zainteresowania historią, która  
stała się już przedmiotem nisko-  
wym, wybieranym na maturze  
przez 7-8 proc. zdających. Nie-  
dodzie pokolenie JP2 takiej histo-  
rii nie chce - i słusznie. Żebyśmy  
mogli zastanawiać się nad  
reformami programowymi

musimy najpierw wiedzieć,  
czemu ma służyć edukacja hi-  
storyczna w Polsce - co skądinąd  
wiąże się z pytaniem, czemu  
ma służyć edukacja w ogóle. Bez  
odpowiedzi na to pytanie wszelkie  
techniczne rozważania nad  
układem treści programowych  
czy liczbą godzin lekcyjnych prze-  
znaczonych na historię pozostają  
zawieszane w próżni.

Chociaż więc z pewną nadzieją  
można patrzeć na nową podsta-  
wę programową właśnie w kry-  
tykowanej przez konserwatyw-  
ną część dotyczącej histo-  
rii dla przyrodników - istota  
problemu pozostaje nietknięta.  
Obóz rządzący nie przeciw-  
stawia konserwatywnemu syste-  
mowi wartości niczego poza re-  
toryką oczekiwania rynku pracy.  
W takim ujęciu sens reform spro-  
wadzałby się do uwolnienia umy-  
słów od nadmiernie obciążającej  
wiedzy i zastąpienia jej elastycz-  
nością, mobilnością, praktycz-  
nymi umiejętnościami. Czyli tym  
wszystkim, co rynek kocha naj-  
bardziej. „Wszystko, co stano-  
wi i zakorzeń, zanika” - pisał kła-  
syk. „Wszystko, co stałe, rozply-  
wa się w powietrzu”. Szkoła staje  
się kolejną przestrzenią, w której  
ma być realizowana emancypa-  
cja w modelu kapitalistycznym,  
polegająca na wyzwoleniu in-  
dywidualnej energii - zarówno  
z więzów tradycyjnych narodo-  
wych zobowiązań, jak i po pro-  
stu od balastu erudycji. W syste-  
mie kapitalistycznym jednak wy-  
zwolenie, jeśli się dokonuje, jest  
jedynie wstępem do kradzieży:  
wyzwolona energia natychmiast  
zostaje przejęta i zagospodaro-  
wana przez rynek.

## Po co nam przeszłość

W reformowanej dla rynku szko-  
le humanistyka nie stanie się  
uczniom mniej obca, a tylko, być  
może, mniej uciążliwa. Tymcza-  
sem prawdziwie wyzwolona, so-  
lidna humanistyka jest dziś bar-  
dzo potrzebna młodym ludziom.  
Jej zadaniem musi być dostarcze-  
nie im narzędzi do budowania

siebie i rozumienia świata w jego  
różnorodności, w skomplikowa-  
niu kwestii społecznych, ekono-  
micznych, kulturowych, poli-  
tycznych. Jej zadaniem jest  
także ujawnianie istniejących re-  
lacji władzy, bo dostrzeżenie ich  
historyczności jest zarazem do-  
strzeżeniem możliwości ich zmia-  
ny. Tylko tak przeszłość może od-  
zyskać znaczenie. Tylko tak lu-  
dzie mogą odzyskać autonomię  
myślenia i działania.

Aby wiedzieć, po co nam huma-  
nistyka i po co historia, musimy  
odpowiedzieć sobie, kim chce-  
my być i jaką wspólnotą chcemy  
tworzyć. Historii zagraża nie ja-  
kokolwiek konkretna reforma,  
ale miażdżąca presja tradycjo-  
nalizmu z jednej i wszystkożer-  
nego rynku z drugiej strony. Aby  
ją ochronić, musimy chcieć stać  
się wspólnotą, dla której prze-  
szłość stanowi przestrzeń rozu-  
mienia, twórczości i etycznego  
zobowiązania.

Rozumienia - czyli rozpozna-  
wania sił społecznych, ekono-  
micznych, kulturowych kształ-  
tujących ludzkie działania, my-  
ślenie i odczuwanie. Twórczo-  
ści, czyli otwarcia się na radość,  
jaką daje pisanie historii, i zara-  
zem przyjęcia odpowiedzialności  
za konstruowanie przez nas  
opowieści. I wreszcie etycznego  
zobowiązania, sprowadzającego  
się do obowiązku empatii, wychy-  
lenia się ku ludziom przeszłości.  
Zwłaszcza ku tym, których głos  
brzmi w historii słabo - kobietom,  
niewolnikom, klasom podpo-  
rządkowanym, skolonizowanym  
ludom i wielu, wielu innym. Trze-  
ba nam historii, która rezygnuje  
z opowiadania o zwycięzcach  
na rzecz dopuszczenia do głosu  
pokonanych, cierpiących, pozba-  
wionych siły. To pierwszy krok  
na drodze, która pozwoli nam  
spełnić ich nadzieje.

Piotr Laskowski jest historykiem idei z UJ,  
byłym dyrektorem Wielokulturowego Li-  
ceum Humanistycznego im. Jacka Kuronia  
w Warszawie. To autor książki „Maszyn  
wojenne. Georges Sorel i strategia radykal-  
nej filozofii politycznej” (2011) oraz „Szkice  
z dziejów anarchizmu” (2006)

REKLAMA

RZECZPOSPOLITA  
SZKOLENIA I KONFERENCJE

SZKOLENIA I KONFERENCJE  
luty - marzec 2012

VAT w obrocie międzynarodowym w 2012 r.  
15 lutego 2012 r., Warszawa

Prawne i praktyczne aspekty kontroli podatkowej  
16 lutego 2012 r., Warszawa

Rynek farmaceutyczny w obliczu zmian legislacyjnych  
- wpływ na kluczowe obszary działalności firm farmaceutycznych  
21 lutego 2012 r., Warszawa

Inwestycje w morskie farmy wiatrowe\*  
22 lutego 2012 r., Warszawa

Strategie inwestycyjne na 2012 r. Szanse i zagrożenia\*  
23 lutego 2012 r., Warszawa

Dobrowolny fundusz emerytalny (DFE) jako jedna z form IKZE  
- fundamenty skutecznej sprzedaży  
24 lutego 2012 r., Warszawa

Obowiązki informacyjne - praktyczne aspekty statusu  
spółki publicznej  
24 lutego 2012 r., Warszawa

UNIFIED COMMUNICATIONS - jak zintegrowana komunikacja  
wpływa na efektywność prowadzonego biznesu?\*

Energia z odpadów. Nowe inwestycje w gospodarce odpadami\*  
29 lutego 2012 r., Warszawa

Kurs na specjalistę ds. majątku trwałego  
29 lutego - 3 marca 2012 r., Warszawa

Czytanie sprawozdań finansowych i ocena finansowa  
kondycji podmiotu  
29 lutego 2012 r., Warszawa

Optymalizacja i ryzyka w obszarze VAT  
1 marca 2012 r., Warszawa

Finanse dla niefinansistów  
5-6 marca 2012 r., Warszawa

\*Uczestnictwo bezpłatne dla kwalifikowanej publiczności

Kontakt: tel. (22) 46 30 069, 46 30 609  
Zgłoszenia i szczegóły: [www.rp.pl/szkolenia](http://www.rp.pl/szkolenia) [www.rp.pl/konferencje](http://www.rp.pl/konferencje)



Marek Raczkowski

# Do krwi ostatniej?



Syryjczycy sami powinni wyrównać rachunki z reżimem – mówi w rozmowie z Łukaszem Wójcikiem **MAGDA QANDIL**, dziennikarka specjalizująca się w tematyce Bliskiego Wschodu, obecnie pracująca w Libanie

## Dlaczego prezydent Baszar al-Asad jeszcze rządzi Syrią?

– Dzięki systemowi zbudowanemu przez jego ojca, Hafiza al-Asada. W 1970 r. przejął on władzę w kraju na fali rewolucji, która polegała na rehabilitacji zmarginalizowanych wcześniej grup społecznych. On sam pochodził z małej alawickiej wioski\*, więc świetnie rozumiał tych wykluczonych ludzi i zdobył ich poparcie dla nowego reżimu. Ale pokolenie Baszara, które tylko odziedziczyło władzę, a nie ją zdobyło, nie czuje się już z nimi związane. Peryferia poza Damaszkiem praktycznie nigdy tych ludzi nie interesowały. I to właśnie te porzucone przez reżim miasta pierwsze zbuntowały się w marcu ubiegłego roku. Historia zatoczyła koło – za Hafiza peryferia zostały dopuszczone do głosu, zrównane w prawach ze stolicą, potem zapomniane, teraz znów się buntują. Ta rewolucja nie zaczęła się w Damaszku, tylko w prowincjonalnym, zapomnianym przez reżim mieście Daraa.

## Czy cała odpowiedzialność za to, co się dzieje w Syrii, spada na Baszara al-Asada?

– To on stoi na czele, ale trzeba pamiętać, że nie był szykowany do roli, którą dziś musi odgrywać. Władzę po ojcu miał przejąć jego starszy brat, który jednak zginął w wypadku. Być może to, co Baszar al-Asad powiedział w grudniu amerykańskiej dziennikarce Barbarze

Walters – że nie kontroluje armii i nie było jego rozkazu, by zabijać – jest prawdą, a on jest zakładnikiem tej sytuacji? Niemniej jednak to on ponosi odpowiedzialność.

## Jest jakaś logika w działaniach reżimu?

– Trudno powiedzieć. Były przecież podejmowane próby negocjacji i nie powiodły się. Syria podpisuje coś z Ligą Państw Arabskich\*\*, po czym robi swoje.

## Liga przecież oczekuje, że reżim odda władzę.

**Więc przyciśnięty do ściany Asad morduje jeszcze więcej ludzi.**

– Na samym początku protestujący domagali się tylko reform. Reżim odpowiedział ostrzałem i dopiero wtedy pojawiły się żądania, aby Asad ustąpił. To jednak przyszło później. Najpierw reżim zaczął mordować ludzi.

## Dlaczego to robi?

– Chce utrzymać władzę. To jest walka o przetrwanie, wynik kalkulacji: albo krwawo ich uciszymy, albo oni nas obalą. Reżim łatwo się nie podda. To nie jest tak jak w Tunezji czy Egipcie. Jeśli zostanie zmuszony do odejścia, to najpierw utopi kraj we krwi. Rządzący muszą mieć nadzieję, że ten opór opozycji w którymś momencie się załamie.

## Czy gdyby reżim od razu zgodził się na reformy, miałby szanse się utrzymać?

– Tak. Osłabiłby swoją pozycję, godząc się na wolne media, czy na otwarcie sceny

politycznej, ale byłby w stanie utrzymać się przy władzy. Teraz nie ma już odwrotu, choć jeszcze rok temu była taka szansa. Baszar był przecież bardzo popularnym prezydentem. **Kto w Syrii go popierał?** – W dużej mierze biznesmeni, którzy swoją pozycję zawdzięczają układom z reżimem. Kciuki za niego trzymali bossowie syryjskiego biznesu, jak milioner Rami Makhluf zresztą kuzyn Baszara. W zamian za lojalność byli nagradzani monopolami w swoich branżach. Traktowali Syrię jak swoje wielkie rano. To oni przez lata stanowili finansowe zaplecze reżimu.

## Nadal go popierają?

– Syryjczycy biznesmeni długo po wybuchu demonstracji stali murem za Asadem. Od dwóch, trzech miesięcy wielu siedzi cicho. Do dezercji dochodzi nie tylko wśród wojskowych, ale również wśród biznesmenów. Z właszcza ci z Damaszku i Aleppo stanowili kluczowy element systemu. Oni też reżim dość długo popierali, bo wydawało im się, że Baszar szybko rozprawi się z demonstrantami, wszystko wróci do stanu sprzed rewolucji, a oni wciąż będą robić interesy. Z czasem wielu z nich uznało, że bardziej opłaca im się wspieranie rewolucji. Robili to po cichu. Powywozili swoje majątki za granicę i dają pieniądze opozycji. Ale incognito

na wypadek, gdyby doszło do nieoczekiwanego zwrotu akcji.

## A kim są syryjscy opozycjoniści?

– Siłą napędową demonstracji w syryjskich miastach najczęściej są ludzie, którzy wcześniej nie działali politycznie, nie należeli do żadnych zdelegalizowanych partii – ani do komunistów, ani Bractwa Muzułmańskiego. To są ludzie bardzo często wykluczeni ekonomicznie, ale też pozbawieni podstawowych wolności.

## Mają jakieś spójne kierownictwo?

– Jest oczywiście Syryjska Rada Narodowa, w dużej mierze złożona z emigrantów. Myślę, że to ona ma największe szanse stworzyć coś na kształt władzy przejściowej po upadku Baszara al-Asada. W samej Syrii są setki działaczy, którzy na miejscu w swoich dzielnicach organizują demonstracje, uprawiają dziennikarstwo internetowe przy użyciu telefonów komórkowych. Takie lokalne komitety koordynacyjne mają swoich przedstawicieli, którzy są w ciągłym kontakcie z Radą Narodową. Zresztą została ona już uznana przez nowe władze libijskie, częściowo też przez Francję i Hiszpanię.

## Czy religia ma w tej rewolucji jakieś znaczenie?

– Bardzo małe. Reżimowi od początku zależało na tym, aby stworzyć wrażenie konfliktu religijnego, żeby można było postraszyć świat

perspektywą przejścia Syrii przez fundamentalistów. Oczywiście zdarzyło się kilka aktów przemocy na tym tle, głównie między alawitami i sunnitami. Ale to, co się dzieje dziś w kraju, jest przede wszystkim buntem ludzi politycznie represjonowanych i ekonomicznie wykluczonych przeciwko autokratycznemu reżimowi. Wśród przeciwników Asada są ludzie ze wszystkich syryjskich grup wyznaniowych. Wśród zwolenników również. **Czy w obecnej sytuacji świat powinien dobrać do syryjskiej opozycji? Czy to nie doprowadzi do jeszcze większego rozlewu krwi?**

– Jedyna alternatywa sprowadza się do sytuacji, w której armia nadal strzela

\* Alawici założony w IX w. heterodoksyjny nurt na obrzeżach islamu. Jego wyznawcy łączą wiarę w reinkarnację i neoplatonizm z obchodzeniem Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Przez większość muzułmanów są uważani za heretyków. Dziś mieszkają niemal wyłącznie w Syrii, gdzie stanowią ok. 13 proc. ludności. Do tej sekty należy cała rodzina Asadów, dlatego jej członkowie są nadreprezentowani na wszystkich szczeblach syryjskiej władzy.

\*\* Liga Państw Arabskich powstała w 1945 r. w celu zacieśnienia współpracy pomiędzy powstającymi po II wojnie światowej nowymi państwami arabskimi.

Portret prezydenta Syrii Baszara al-Asada pochłapany czerwoną farbą (demonstracja pod ambasadą syryjską w Bejrucie, luty 2012 r.). Napis na plakacie brzmi: „Powiesimy ciebie i zabijemy twoje dzieci, tak jak ty zamordowałeś dzieci Syrii”

# Po co Rosji brat morderca

**Moskwa zablokowała rezolucję potępiającą reżim Baszara al-Asada nie tylko po to, aby zrobić na złość Zachodowi. Rosjanie potrzebują ciepłego morza, które gwarantuje im dziś tylko Syria**

**LUKASZ WÓJCIK**

**R**osjanie ratowali już dwóch Asadów. Najpierw Hafiza w 1957 r. Przyszły prezydent Syrii, ojciec obecnej głowy państwa, jako młody pilot był wówczas w Moskwie na kursie nocnego latania odrzutowcami. Jak pisze John McBrewster w książce o Hafizie, radzieccy instruktorzy naziemną część szkolenia Syryjczyków prowadzili głównie w barze. Choć podobno niedościgniony w powietrzu, na lądzie młody Hafiz był bezbrony. Życie uratowało mu dwóch rosyjskich toksykologów.

Drugiego Asada Rosjanie uratowali 4 lutego 2012 r., przynajmniej tymczasowo. Propozycja Radzie Bezpieczeństwa ONZ rezolucja wzywała obecnego prezydenta Syrii Baszara al-Asada do wstrzymania ataków na cywilów i zaakceptowania planu Ligi Arabskiej, w ramach którego musiałby ustąpić ze stanowiska. Rosja i Chiny zawetowały tę propozycję. Po Pekinie nikt się wiele nie spodziewał. Ale Moskwa ściągnęła na siebie międzynarodową krytykę.

Reżim Asada bez opamiętania masakruje swoich obywateli. Organizacje praw człowieka alarmują, że liczba ofiar 11-miesięcznego konfliktu w Syrii powoli zbliża się do 10 tys. Susan Rice, amerykańska ambasador przy Radzie Bezpieczeństwa, uznała rosyjskie weto w sprawie Syrii za „skandaliczne”, a francuski ambasador Gérard Araud dodał, że Moskwa „pogwałciła dwie podstawowe wartości ONZ: wolność i prawa człowieka”.

Obie te wartości gwałcono już setki razy, na przykład gdy Amerykanie blokowali rezolucje potępiające izraelskie ataki na Liban w 2006 r. czy na Strefę Gazy dwa lata później. – Przykładanie moralnej miary do decyzji Rady Bezpieczeństwa jest dość

ryzykowne – twierdzi Shadi Hamid, szef Brookings Doha Center. – Ale rosyjskie weto wypadło w wyjątkowo niefortunnym momencie, gdy wszyscy oczekiwali, że ONZ w końcu coś zrobi z Asadem. W efekcie Rosja znów jest postrzegana jako imperium zła, które przyznało Damaszkowi licencję na zabijanie własnych obywateli.

Innego zdania jest ocalony reżim. Syryjski ambasador przy ONZ Baszar Jaafari wzruszony dziękował Moskwie i kilkakrotnie podkreślał „wieczne braterstwo broni dwóch narodów”. Gdy trzy dni po zawetowaniu rezolucji szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow odwiedził Damaszk, na ulicach syryjskiej stolicy witały go tłumy i okrzyki „Dziękujemy!”. Rosjanie odwiedzili się reżimowi za to przyjęcie,

przekonując później zachodnie media, że wroży w demokratyczne reformy, które zapowiedział prezydent Asad.

Z perspektywy Damaszk trudno się dziwić, że hołubi swojego potężnego wybawiciela z Rady Bezpieczeństwa ONZ. Ale po co Rosji biedny brat morderca? Wbrew pozorom Asad jest dziś bardziej potrzebny Władimirowi Putinowi niż Putin Asadowi.

## Słaba głowa, bratnia dusza

Ten egzotyczny duet powstał już w połowie lat 50. XX w., gdy radzieckie awanse odrzucił Izrael, który właśnie ramię w ramię z Francuzami i Brytyjczykami zaatakował Egipt. Już pierwsza radziecko-syryjska umowa przewidywała, że Rosjanie w zamian za dostawy nieo-

przestarzałego sprzętu przejmą de facto kontrolę nad syryjską armią. To właśnie na podstawie tej umowy młody Hafiz al-Asad trafił do Moskwy na szkolenie. Zamach stanu, który przeprowadził w 1970 r., odbył się pod pełną kontrolą i za przyzwoleniem Rosjan. Nowy prezydent kraju pierwsze gratulacje otrzymał od towarzysza Leonida Breżniewa.

Po upadku ZSRR Rosjanie zainwestowali w syryjską gospodarkę ponad 20 mld dol., głównie w turystykę (w syryjskich kurortach co drugi turysta to Rosjanin). Przejmują też coraz większą kontrolę nad syryjskimi surowcami. Ponad 30 proc. wydobywanego gazu ziemnego przechodzi przez rosyjskie ręce. Rosyjska firma Stroitransgaz buduje w Syrii rafinerię gazową. Inna firma Tatneft od zeszłego roku wydobywa w Syrii ropę naftową.

Najlepszy interes Rosjanie jednak robią na sprzedaży Damaszkowi sprzętu wojskowego. Ponad 10 proc. całego rosyjskiego eksportu zbrojeniowego trafia właśnie do Syrii. Ostatnie większe zakupy to między innymi dwa potężne radary, transportery opancerzone, zestawy rakiet S-300. Najnowszy kontrakt, podpisany już gdy Damaszk w najlepsze mordował swoich obywateli, przewiduje dostawę 36 rosyjskich samolotów szkolno-bojowych Jak-130 za łączną sumę 550 mln dol.

Syryjczykom się nie przelewa, więc większość tych transakcji przeprowadzana jest na kredyt. Rosjanie już w 2006 r. umorzyli Syryjczykom 75 proc. pożyczek z czasów sowieckich. Gdyby teraz dopuścili do upadku Asada, kolejne pożyczki umorzyłyby się same, bo nowe władze mogłyby nie czuć się nimi związane.

Dla Rosjan najważniejsze jednak w Syrii jest ciepłe morze, choć nie ze względów turystycznych. Gdy w XVII w. pod panowaniem carycy Katarzyny Wielkiej Rosja stała się największą lądową potęgą, do pełnego statusu międzynarodowego mocarstwa brakowało jej tylko dużego portu, który nie zamarzałby na zimę. Skuty lodem przez większą część roku Ocean Arktyczny wyklucza z żeglugi wszystkie rosyjskie porty na dalekiej północy. Podobne problemy są z portami na Dalekim Wschodzie. Bałtyk nie dość, że czasem też zamarza, to jeszcze kończy się płytkim gardłem Cieśnin Duńskich, nieprzekraczalnym dla większych jednostek.

Ambicje polityczne Katarzyny Wielkiej skierowały ją do przebiccia się nad Morze Czarne. Po sześćdziesięciu latach wojny z Turcją Osmańską na mocy pokoju z 1774 r. Rosja zajęła między innymi Azow, potężną twierdzę i port nad Morzem Czarnym. Jak się później okazało, wojna



Spotkanie Asada i Ławrowa. Damaszk, 7 lutego 2012 r.

*Z perspektywy Damaszk trudno się dziwić, że hołubi swojego potężnego wybawiciela z Rady Bezpieczeństwa ONZ. Ale po co Rosji biedny brat morderca? Wbrew pozorom Asad jest dziś bardziej potrzebny Władimirowi Putinowi niż Putin Asadowi*

ta stała się początkiem końca dla Osmanów i przepustką do potęgi dla carskiej Rosji.

Wraz z upadkiem ZSRR największa baza radzieckiej marynarki nad Morzem Czarnym w Sewastopolu przypadła Ukrainie, a Moskwa po ponad dwóch stuleciach znów utraciła dostęp do ciepłych mórz. Co prawda rosyjskie okręty nadal operują z bazy w Sewastopolu, ale Rosjanie są tam na łasce Ukraińców, którzy po 2017 r. mogą im wypowiedzieć umowę dzierżawy. Sewastopol ma jeszcze jedną wadę – aby dostać się stamtąd na Morze Śródziemne, rosyjskie okręty muszą przejść przez Bosfor, a Turcja wciąż jest członkiem wrogiego Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Pogrążeni w strategicznej desperacji Rosjanie kilka lat temu przypomnieli sobie o niewielkim syryjskim porcie

Tartus, opuszczonym i zaniedbanym, odkąd po upadku ZSRR przestała z niego korzystać rozwiązana rosyjska Flota Śródziemnomorska. We wrześniu 2008 r. Moskwa podpisała z Damaszkem nową umowę pozwalającą Rosjanom na rozbudowę portu. Od 2009 r. w Tartus pracuje nieprzerwanie ponad 600 Rosjan. Zwiększeniem wielkiego remontu nadbrzeży jest obecna wizyta w porcie jedyne rosyjskiego lotniskowca „Admirała Kuzniecowa”, który w towarzystwie kilku mniejszych rosyjskich okrętów będzie tam stacjonował do końca wiosny.

## Koszmar zamarniętych portów

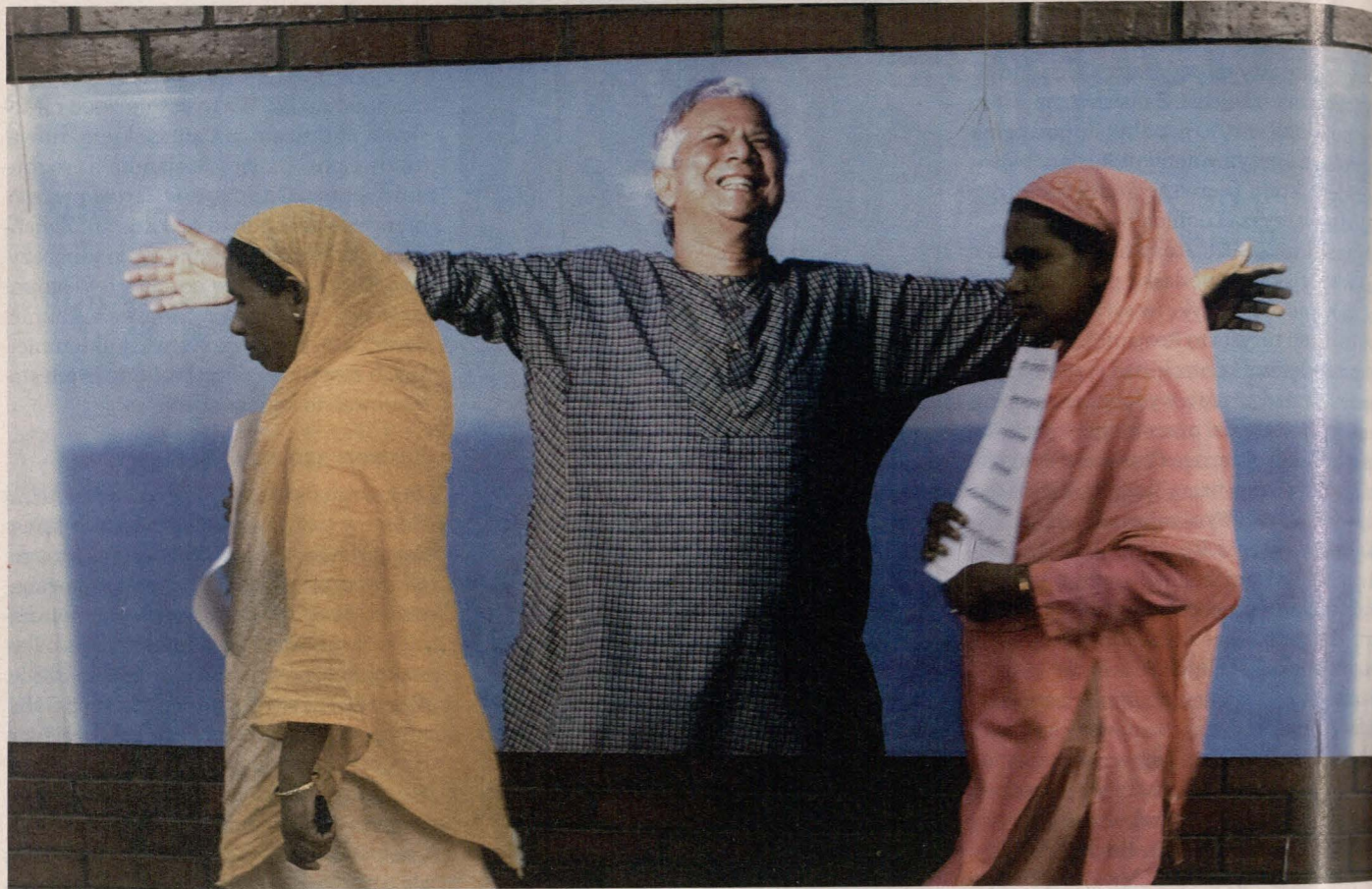
„Bez względu na to, jak bardzo już nieracjonalny jest powracający koszmar zamarniętych portów, dziś przekłada się na realne decyzje strategiczne, podejmowane przez Moskwę” – przekonuje w „Guardianie” David Hearst, dziennikarz i publicysta zajmujący się państwami byłego ZSRR. „Weto wobec antysyryjskiej rezolucji ONZ po części wynikało z dziecinnej chęci utarcia nosa Zachodowi, ale w nie mniejszym stopniu powodowane było zinnowojennym myśleniem, że wcale nie chodzi tu o powstrzymanie rozlewu krwi w Syrii, ale o pozbywanie Rosji ostatniej bazy wojskowej poza terenem byłego ZSRR. I odcięcie Rosji od ciepłych wód”.

Podobne podejrzania Moskwa miała też wtedy, gdy na początku lat 70. nowy prezydent Egiptu Anwar Sadat wyrzucił z kraju radzieckich doradców. Sam rozpad Jugosławii i ostateczne odepchnięcie prorosyjskiej Serbii od morza po rozpadzie unii z Czarnogórą w 2003 r. też według opinii wielu rosyjskich ekspertów były elementami spisku, mającego na celu odcięcie Rosji od ciepłych wód.

Dlatego portu w Tartus Moskwa nie opuści. Dla wsparcia reżimu Asada Rosjanie zmobilizowali już nawet patriarchę Cyryla, który w listopadzie odwiedził Damaszk i publicznie pobłogosławił syryjskiego prezydenta. Gdyby jednak i nadprzyrodzone wsparcie nie pomogło, to – jak twierdzi syryjska korespondentka „The Wall Street Journal” Nour Malas – Moskwa już wstępnie porozumiała się z grupą wykształconych w ZSRR syryjskich oficerów, którzy w momencie upadku Asada mieliby przechwycić władzę w kraju i zagwarantować Rosjanom nieograniczony dostęp do ciepłych mórz. Jak widać, naziemne szkolenia radzieckich instruktorów nie poszły na marne.



Protest w mieście Homs. Demonstranci wnoszą antyreżimowe okrzyki, a lojalne wobec prezydenta Baszara al-Asada siły zbrojne otaczają dzielnicę, styczeń 2012 r.



## Jak żyć, panie Yunus?

Czy mikropożyczki to uniwersalna recepta na wyciągnięcie milionów ludzi z biedy, czy raczej neoliberalna mrzonka o zwolnieniu państwa z odpowiedzialności za ich los?

AGATA MŁODAWSKA

**B**angladesz, lata 70. Jobra, uboga wioska, gdzie większość pól leży odłogiem, przyciąga uwagę świeżo upieczonych dziekana Wydziału Ekonomii Uniwersytetu w Chittagong. Profesor Muhammad Yunus dostrzega, że pozbawione dostępu do kredytów najbiedniejsze mieszkanki nie mają szans rozwinać własnej działalności gospodarczej. Poddaje więc wioskę niecodziennemu eksperymentowi: oferuje najmniej zamożnym (głównie kobietom) niewielkie pożyczki. Stopniowo tworzy system: mikro-kredyty udzielane są grupom pięciosobowym, z których przynajmniej dwoje członków musi zobowiązać się do regularnych spłat. Raty są

niewielkie, członkinie grupy dodatkowo mają obowiązek wpłat na fundusz grupowy pełniący rolę zabezpieczenia społecznego.

Z czasem system mikro-kredytów przenika do kolejnych prowincji i do innych państw, a jego twórca omija przeszkody zastawione przez niechętną kobietom tradycję religijną i niechętną ubogim kulturę bankową oraz zawirowania polityczne. Zwieńczeniem udanego eksperymentu jest otrzymana w 2006 r. Pokojowa Nagroda Nobla.

Spłacalność kredytów w Grameen Bank wynosi 96 proc., wiele kobiet udało się uratować od nędzy dzięki wykorzystaniu ich własnej wiedzy i umiejętności – niedocenianych przez organizacje międzynarodowe pokroju Banku Światowego, które zwykle mają ubogim

do zaoferowania pakiet zawczasu przygotowanych szkoleń. Rozdawanie wędki zamiast ryb wywołuje zachwyty Leszka Balcerowicza. Znany z neoliberalnych poglądów profesor chwali na okładce wydanej niedawno w Polsce książki Yunusa „Bankier ubogich. Historia mikro-kredytu”: „Rządy powinny (...) sprzyjać morzutomu tworzeniu inicjatyw typu Grameen, tworząc dla nich odpowiednie warunki prawne oraz klimat”.

### Bankier ubogich

W książce Yunusa opisy potraw i lokalnych zwyczajów przeplatają się z opisami dramatycznych walk z biurokracją państwową i organizacjami międzynarodowymi oraz ogólnymi refleksjami nad naturą świata. W każdym

człowieku – stwierdza autor – drzemie potencjał do założenia własnej działalności gospodarczej, który blokowany jest przez nie-sprzyjające warunki (brak dostępu do kredytów, nadmiar opieki społecznej). Wystarczy jednak pozwolić na skorzystanie z „prawa do kredytu, będącego jednym z praw człowieka”, aby dawni ubodzy stali się drobnymi przedsiębiorcami. Zyskają na tym przede wszystkim ubogie kobiety, które mają ograniczony dostęp do zasobów z własnego gospodarstwa domowego, leżących tradycyjnie w gestii mężczyzn.

Ubogie kobiety, podkreśla Yunus, zdobyte pieniądze inwestują przede wszystkim w wychowanie dzieci oraz w gospodarstwo domowe. Pomyśl ten przywodzi na myśl politykę społeczną prowadzoną przez urzędników prezydenta Luli w Brazylii, gdzie zasiłki trafiają do kobiet, które zobowiązane są regularnie posyłać dzieci do szkoły i je szczepić. W brazylijskim przypadku pomoc społeczna stanowi swoiste wynagrodzenie za pracę związaną z wychowywaniem dzieci, a więc pośrednio związana jest z siecią nieformalnych relacji rodzinnych. Podobnie działa system mikro-pożyczek: tradycyjne zabezpieczenia majątkowe kredytu zastępowane są zaufaniem opartym na bezpośrednich kontaktach. Według Yunusa tworzenie grup kredytobiorczyń ma motywować i zabezpieczać zarazem.

Wymóg wysokiego zaufania może jednak stanowić jedno z ograniczeń podobnych programów pomocowych. Jak pokazuje doświadczenie brazylijskie, opisane na łamach magazynu „Obywatel” przez Janinę Petelczyc („Kraj przyszłości”, nr 2/2011), warunkowana nieformalnymi więziami polityka społeczna natrafia na przeszkody w miastach, gdzie relacje międzyludzkie są bardziej anonimowe. Większość inicjatyw opartych na mikro-pożyczkach rozwinęła się na terenach wiejskich.

### Koniec ubóstwa?

Przykłady podane w książce Yunusa mają charakter anegdotyczny bądź opierają się na doświadczeniach „amerykańskich naukowców”. Nie jest jasne, czy system mikro-pożyczek rzeczywiście przyczynił się do spadku bezrobocia albo do ogólnej poprawy sytuacji gospodarczej w regionie. Raport Grameen Bank z 2009 r. stwierdza wprawdzie, że w latach 1990–2008 blisko dwa miliony gospodarstw domowych objętych mikro-pożyczkami przekroczyło poziom nędzy ustalony na wysokości 1,25 dol. na osobę; w dokumencie jednak nie ma informacji o wpływie mikro-pożyczek na rozwój regionu. Sceptyczny wobec nich



Bangladesz. Mieszkanki Dhaki oddają pracownikowi Grameen Bank pożyczone pieniądze

Milford Bateman („Has the microfinance bubble really burst?”) zauważa, że Jobra wciąż pozostaje ubogą wioską w ubogim kraju.

Yunus pisze o nowym modelu przedsiębiorczości społecznej, którego motorem mają być podobne do Grameen organizacje. W tej wizji społeczeństwa nie ma miejsca dla publicznych szkół ani dla systemu opieki zdrowotnej. Przeszarżałe daniny na rzecz ubogich mają zaniknąć, ponieważ „bankier ubogich” zakłada, że interwencja państwa i przedsiębiorczość społeczna nie mogą współistnieć.

Utożsamienie dobra publicznego z działaniem przynoszącym przedsiębiorcy „satisfakcję psychologiczną, emocjonalną i duchową” jest elementem szerszej wizji społeczeństwa, które według Yunusa obecnie składa się z dwóch warstw: ubogich (będących potencjalnymi rzemieślnikami – wytwórcami) i z zamożnych przedsiębiorców. Pracownicy najemni tworzący klasy średnie w takim układzie praktycznie nie występują, a solidarność społeczna jest tożsama z miłosierdziem.

### Sieć mikroprzedsiębiorstw

Proponowany przez Yunusa model zakłada, że po wyeliminowaniu ubóstwa najniższe warstwy staną się samowystarczalnymi właścicielami przedsiębiorstw społecznych (ewentualnie pracownikami najemnymi). Tutaj pojawia się wątpliwość: czy określenie „samowystarczalny” jest adekwatne w stosunku do osób, które zaciągają zobowiązania finansowe w instytucjach narażonych na bankructwo w obliczu kryzysu finansowego (tak stało się w zwanym na Grameen South Shore Bank założonym w Stanach Zjednoczonych) oraz są zależne od dobrej woli zamożniejszych uczestników gry? Kolejna wątpliwość wiąże się z trwałością instytucji opartych na współczuciu: czy fundowane przez przedsiębiorców

szkoły przetrwają zakładany zanik warstwy ubogiej? Co się stanie z przedsiębiorstwami zakładanymi przez ubogich po zlikwidowaniu ubóstwa? Czy drobnymi przedsiębiorcami będą wzbudzać tyle samo współczucia co przymierający głodem żebracy?

Na te pytania próżno szukać odpowiedzi w „Bankierze ubogich”, nie ma tam też danych dotyczących rozwoju przedsiębiorstw prowadzonych przez kredytobiorczynie Grameen Bank. Nie wiadomo, jaka jest ich kondycja finansowa i jakie mają szanse przetrwania w walce z korporacyjnymi konkurentami, gdy znikną – jak chce tego Yunus – cła protekcyjne. Noblista zakłada, że popyt i podaż w systemie mikro-kredytowym będą w równowadze, a każdy potencjalny rzemieślnik przedsiębiorca znajdzie klientów. Taki system byłby możliwy, gdyby wszyscy uczestnicy zajmowali w grze rynkowej mniej więcej równe pozycje – bez tego istnieje groźba spauperyzowania części przedsiębiorców i powrotu do systemu wysokooprocentowanych pożyczek udzielanych przez nieuczciwych pośredników.

W skali mikro udało się Yunusowi poprawić los pojedynczych kobiet i zwrócić uwagę na niewykorzystane zasoby lokalnej wiedzy i umiejętności. Jednak traktowanie mikro-kredytów jako uniwersalnego modelu, skutecznego zarówno w wielkomiejskich aglomeracjach globalnej Północy, jak i na prowincji krajów rozwijających się, budzi zastrzeżenia. Zamiast bezkrytycznie zachwycać się bangladeskimi osiągnięciami Yunusa, należy raczej powtórzyć za Josephem Stiglitzem: rozwiązania niezależne od kontekstu lokalnego nie istnieją.

Agata Młodawska jest redaktorką i współzałożycielką portalu Nowe Peryferie oraz stałą współpracowniczką magazynu „Obywatel”



# W kleszczach pomocy

Co roku biedne Południe oddaje bogatej Północy ponad trzykrotnie więcej, niż otrzymuje w ramach pomocy rozwojowej. Jean Ziegler, szwajcarski dyplomata, w książce „Imperium hańby” demaskuje system odpowiedzialny za głód wycieńczający miliard ludzi

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ

**I**mperium hańby” Jeana Zieglera zaczyna przejmujący obraz Afrykańczyków usiłujących sforsować Morze Śródziemne i umknąć ujnym służbom granicznym. Los imigrantów umierających u zatrzęsniętych bram Starego Kontynentu to nie tylko przykład przemocy systemu, ale także dowód naszej hipokryzji, gdy ośmielamy się pouczać Trzeci Świat w kwestiach demokracji i praw obywatelskich. Dotyczy to także polskiej klasy politycznej, która po 1989 r. bez oporów odnalazła się w strukturach tytułowego imperium. Nasz kraj dał przekonujący dowód stosunku do praw człowieka, instalując na swym terytorium tajne więzienia CIA. Mamy też udział w tragicznym losie, jaki tysiącom uciekinierów gotuje Frontex – paramilitarna instytucja walcząca z tzw. nielegalną imigracją i jedyna agenda unijna, której centrala mieści się na terytorium Polski.

Jean Ziegler – znany socjolog i parlamentarzysta federalny z ramienia szwajcarskiej socjaldemokracji – już nieraz psuł humor wielkim tego świata. W latach 90. XX w. opisał współpracę szwajcarskich bankierów z zairskim dyktatorem Mobutu Sese Seko. Jego propozycja konfiskaty majątku kleptokracji i zwrotu pieniędzy Kongijczykom nie została oczywiście przyjęta przez szwajcarskie władze. A pamiętacie skandal ze złotem ofiar Holocaustu przechowywanym w helweckich bankach? Głos Zieglera był wówczas bardzo znaczący. Chociaż książka „Szwajcaria. Złoto i śmierć: jak szwajcarscy bankierzy pomagali finansować nazistowską maszynę wojenną” we własnym kraju ściągnęła na niego ataki, to w USA oraz Izraelu przyniosła mu uznanie i szacunek. Kilka lat później Ziegler, już jako specjalny sprawozdawca ONZ ds. prawa do żywienia, stał się jednak celem ataków rządów w Waszyngtonie i Tel Awiwie. Wezwał mianowicie

do postawienia odpowiedzialnych za izraelską inwazję na Liban w 2006 r. przed Międzynarodowy Trybunał Karny.

Książki Zieglera, doskonalone udokumentowane, powstają po części na bazie jego osobistych doświadczeń. Autor chętnie portretuje elity ONZ-owskie, finansowe i polityczne. Sęk w tym, że pisze o nich z perspektywy



Enrique De La Osa/REUTERS/FORUM

**Jean Ziegler** (ur. 1934) jest dyplomata oraz profesorem prawa i socjologii. Był członkiem Komitetu Doradczego Rady Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych, a w latach 2000–2008 specjalnym sprawozdawcą ONZ ds. prawa do żywienia. Jest też autorem wielu książek, z których najgłośniejsza – „Nienawiść do Zachodu” (pol. wyd. Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, 2010) – otrzymała prestiżową Nagrodę Literacką Praw Człowieka 2008.

Południa – z punktu widzenia 80 proc. ludności świata. Grupie tej wysoko postawieni rozmówcy Szwajcara przyznają rolę co najwyżej przedmiotu wyzysku (używając modnego eufemizmu – „nowych rynków”) lub ofiar wojen rewolucyjnych.

Świeżo wydane w Polsce „Imperium hańby” opisuje mechanizm ubezwłasnowolnienia państw Południa przez system pożyczek. Autor szczegółowo rekonstruuje historię zadłużenia, która wciąga poszczególne państwa, a także całe regiony w orbitę wpływów Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Państwa rozwijające się w latach 70. XX w. chętnie korzystały ze zwrotnej pomocy udzielanej przez prywatne i państwowe instytucje (Polska również z nich korzystała). Ale od początku lat 80., wskutek gwałtownych podwyżek stóp procentowych, odsetki stały się wielokrotnie większe niż pożyczone kwoty sumy. Państwa Południa wpadły w spiralę

zadłużenia, uzależniając się od instytucji oferujących im kredyty na spłatę odsetek od starych kredytów.

Tak powstał mechanizm pompowania pieniędzy od biednych do bogatych. W ciągu 30 lat jego działania Południe zapłaciło Północy ok. 4,6 bln dol. Kilka lat temu Międzynarodowy Komitet na rzecz Anulowania Długów Trzeciego Świata (CADTM) obliczył, że za jednego pożyczonego dolara kraje Południa spłaciły już 8 dol., a winne są jeszcze kolejne pięć. Dziś sytuacja jest jeszcze gorsza.

Przestawienie gospodarek na potrzeby obsługi rosnącego zadłużenia jest równoznaczne z demontażem sektora publicznego, służby zdrowia, edukacji. Za tym idzie ograniczenie praw pracowniczych i otwarcie kraju na konkurencję korporacji. Dysponując wsparciem własnych rządów, zachodnie koncerny z łatwością radzą sobie z lokalnymi producentami, którzy nie mogą liczyć na żadne subwencje. Stąd już tylko krok do utraty suwerenności żywnościowej. To wedle Zieglera leży właśnie u podstaw głodu wycieńczającego miliard ludzi na świecie, a zabijającego ponad 30 mln rocznie.

Mechanizmy opisywane przez Szwajcara to nie abstrakcja. Ludzie, których spotykał, czyni bohaterami swych książek, mają je odcisnięte w życiorysach. Książki Zieglera mają bowiem dwóch bohaterów – pierwszym jest kapitalizm, drugim ci wszyscy, którzy rzucali wyzwanie jego niesprawiedliwościom. Dla tego autor przygląda się dużym ruchom społecznym, małym społecznościom i jednostkom walczącym o poprawę swej sytuacji.

Ziegler oddaje sprawiedliwość cierpiącym i walce Południa, przywraca pamięć o zbrodniach kolonializmu i demaskuje teraźniejszość ekonomicznego apartheidu.

MONDE.  
diplomatique  
Przemysław Wielgosz jest redaktorem naczelnym „Le Monde Diplomatique”, edycja polska



Ponad 250 niedoszłych imigrantów z Afryki stłoczonych na dwóch łodziach rybackich została zatrzymana przez służby graniczne w pobliżu Wysp Kanaryjskich, jesień 2006 r.

Santiago Ferrero/REUTERS/FORUM

## Imperium hańby

JEAN ZIEGLER

**3** yła ciemna, bezksiężycowa noc. Wiatr wiał z prędkością ponad 100 km na godzinę. Wzbijał potężne, wznoszące się na wysokość 10 metrów fale, które z przerażającym hukkiem uderzały w kruchą, drewnianą szalupę. Przed 10 dniami wyruszyła ona z zatoki u wybrzeży Mauretanii, a na jej pokładzie płynęło 101 afrykańskich uchodźców.

Nawałnica cudem zaprowadziła stateczek na plażę w El Medano na jednej z Wysp Kanaryjskich i wyrzuciła go na piaszczysty brzeg. Wśród półprzytomnych rozbitków funkcjonariusze Guardia Civil odnaleźli cztery ciała: kobiety oraz trzech nastoletnich chłopców, którzy zmarli z głodu i odwodnienia.

Tę samą nocą nieco dalej inna szalupa niosąca 60 mężczyzn, 17 dzieci i siedem kobiet osiadła na mieliznach przy brzegu wysepki El Hierro. Kilkadziesiąt osób, skrajnie wyczerpanych i ślaniających się na nogach, ledwo dotarło na piaszczystą plażę.

W tym samym czasie, lecz tym razem na Morzu Śródziemnym, rozegrał się jeszcze inny dramat: 150 km na południe od wybrzeży Malty samolot obserwacyjny organizacji

Frontex namierzył barkę z 53 osobami na pokładzie, dryfującą na falach najprawdopodobniej w wyniku awarii silnika. Kamery samolotu patrolowego zarejestrowały na pokładzie kobiety i małe dzieci. Pilot natychmiast zaalarmował maltańskie władze.

Malta odmówiła podjęcia jakichkolwiek działań, uzasadniając, że rozbitkowie znajdują się w „libijskiej strefie bezpieczeństwa”. Interweniować musiała Laura Boldini, wysłanniczka Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców, która zażądała od Malty wysłania ekipy ratunkowej. Argumentowała, że w przeszłości zdarzało się już, że podobne szalupy dryfowały po Morzu Śródziemnym nawet 20 dni.

Nie było jednak żadnej reakcji. Europa nie zamierzała interweniować. Rozbitkowie zniknęli bez śladu.

Kilka tygodni wcześniej szalupa, płynąca z Afryki w kierunku Wysp Kanaryjskich i wioząca ok. 100 uciekających przed głodem Afrykańczyków, zatonięła w Atlantyku na wysokości Senegalu. Przeżyły dwie osoby.

28 września 2005 r. hiszpańscy żołnierze zastrzelili pięciu młodych ludzi z Afryki, którzy próbowali sforsować zwińczone drutem

kolczastym i podłączone do prądu ogrodzenie wokół Ceuty, hiszpańskiej enklawy w Maroku. Osiem dni później w podobnych okolicznościach śmierć poniosło kolejnych sześciu młodych Afrykańczyków.

Tysiące ludzi z Afryki, w tym także kobiety i dzieci, koczują przed zasiekami Mellilli i Ceuty w surowych warunkach marokańskiego Rifu. Stosując się skrzętnie do założeń komisarzy z Brukseli, marokańska policja deportuje Afrykańczyków w głąb Sahary. Porzuca ich na pustyni bez wody i żywności. Setki, a może nawet tysiące osób umiera wśród saharyjskich piasków i skał.

Jak wielu młodych Afrykańczyków opuszcza każdego roku swój kraj, by – choćby z narażeniem życia – przedostać się do Europy? Szacuje się, że ok. 2 mln osób rocznie próbuje wjechać nielegalnie na terytorium Unii Europejskiej i że ok. 2 tys. spośród nich ginie podczas przeprawy na wodach Morza Śródziemnego, a podobna liczba – na Atlantyku. Uciekinierzy, wybierając drogę przez Maroko, usiłują przepłynąć Cieśninę Gibraltarską albo wyruszać z Mauretanii czy Senegalu, próbując przedostać się na Wyspy Kanaryjskie.

→ Zgodnie z danymi opublikowanymi przez hiszpańskie władze 47 685 nielegalnych imigrantów z Afryki dotarło w 2006 r. do wybrzeży Hiszpanii. Do tej liczby należy dodać 23 151 nielegalnych imigrantów, którzy – wyruszając z Libii lub Tunezji – trafili do Włoch lub na Maltę. Kolejni próbują przedostać się przez Egipt lub Turcję do Grecji albo na adriatyckie wybrzeże Włoch. Sekretarz generalny Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyc Markku Niskala ubolewał: „Ten kryzys jest pomijany całkowitym milczeniem. Nie ma nikogo, kto gotów byłby przyjść z pomocą tym zaszczuwanym ludziom. Mało tego, żadna organizacja nie pokusiła się nawet o zajęcie się tym problemem, choćby tylko przez dostarczenie statystyk, które uświadomiłyby rozmiar tych rozgrywających się na porządku dziennym tragedii”.

Próbom przedostania się do Europy przez morze podejmowanym przez Afrykańczyków, którym głód każe szukać innego miejsca do życia, sprzyja pewna szczególna okoliczność, a mianowicie szybko postępujące wyniszczenie rybackich wspólnot u atlantyckich i śródziemnomorskich wybrzeży Afryki. Jest ono wynikiem prowadzonej przez wiele afrykańskich państw sprzedaży praw do połowu zagranicznym przedsiębiorstwom rybackim. Japońskie, kanadyjskie, portugalskie, francuskie, duńskie i pływające pod wszelkimi możliwymi banderami statki-przetwórnice sięją spustoszenie wśród zasobów rybnych na wodach terytorialnych państw Afryki. Zepchnięci w biedę, pozbawieni nadziei, bezbronni i zbankrutowani rybacy po śmiesznie niskich cenach sprzedają swoje barki siatkom przemysłowym albo sami podejmują się przetrzutu ludzi. Ich łodzie, przystosowane do pływania po płytkich wodach przybrzeżnych, nie nadają się do żeglugi na pełnym morzu.

Afrykę zamieszkuje niemal miliard ludzi. W latach 1972–2002 liczba poważnie i permanentnie niedożywionych ludzi w Afryce wzrosła z 81 do 203 mln.

Co jest powodem takiego stanu rzeczy? Przyczyn jest wiele. Najpoważniejsza z nich to wspólna polityka rolna Unii Europejskiej.

W 2006 r. państwa uprzemysłowione stowarzyszone w OECD wypłaciły swoim rolnikom i hodowcom ponad 350 mld dol. w ramach subsydiów do produkcji i eksportu.

Unia Europejska z bezprzykładnym cynizmem stosuje w Afryce praktykę dumpingu rolniczego. Jej wynikiem jest systematyczna



Juan Medina/REUTERS/FORUM

destrukcja lokalnego rolnictwa nastawionego na produkcję żywności w Afryce.

Spójrzmy choćby na największy w Afryce Zachodniej targ podstawowych artykułów konsumpcyjnych w Sandaga. Targowisko w Sandaga jest hałaśliwym, kolorowym, pełnym zapachów i tętniącym życiem światkiem położonym w centrum Dakaru.

Gospodynie domowe mogą tu kupić – w zależności od pory roku – portugalskie, francuskie lub hiszpańskie warzywa i owoce za połowę albo nawet jedną trzecią ceny tych samych produktów pochodzących z miejscowej uprawy.

Kilka kilometrów dalej w palącym afrykańskim słońcu rolnik Wolof wraz z żoną i dziećmi pracuje na swoim polu nawet 15 godzin dziennie. I nie ma najmniejszych szans zarobić swoją pracą na godną egzystencję.

Gospodarka 37 spośród 57 krajów afrykańskich opiera się niemal wyłącznie na rolnictwie.

Mało kto pracuje tak ciężko i w tak trudnych warunkach jak afrykańscy rolnicy: senegalscy Wolofowie, malijscy Bambara, Mossi z Burkina Faso czy Baszi z Kiwu.

Europejska praktyka dumpingu rolniczego niszczy życie tych ludzi oraz ich dzieci.

Aby bronić Europy przed napływem uchodźców, których głód wypędza z ich rodzinnych krajów, Unia Europejska utworzyła na wpół tajną organizację militarną Frontex.

Do zadań tej agencji należy czuwanie nad „zewnętrzными granicami Unii”, czyli granicami kontynentu.

Organizacja dysponuje szybkimi i doskonale uzbrojonymi statkami ścigaczami, helikopterami bojowymi oraz całą flotą okrętów nadzorczych wyposażonych w superczułe kamery, noktowizory, radary, urządzenia łączności satelitarnej i najnowocześniejszy elektroniczny sprzęt monitorujący dalekiego zasięgu.

Równocześnie Frontex jeszcze na terytorium Afryki prowadzi „obozy recepcyjne”, do których trafiają uciekający przed głodem ludzie z całej Afryki: z Czadu, Demokratycznej Republiki Konga, Burundi, Kamerunu, Erytrei, Malawi, Zimbabwe i innych państw.

Przez rok, a nierzadko dwa lata, przedzierają się przez cały kontynent, żyją w prowizorycznych warunkach i przekraczają kolejne granice, starając się dotrzeć jak najbliżej wybrzeża. Tutaj są przechwytywani przez funkcjonariuszy Frontexu lub ich lokalnych pomocników, których zadaniem jest uniemożliwić im dotarcie do portów u wybrzeży Morza Śródziemnego czy Atlantyku.

W sytuacji, gdy Frontex przelewa znaczne sumy do budżetów afrykańskich rządów, mało który z nich odmawia udostępnienia swojego terytorium na utworzenie podobnych obozów.



Fragment pochodzi z książki Jeana Zieglera „Imperium hańby”, przeł. Ewa Cyliwik, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2012, s. 35-36, 35 zł

Plaże Gran Tarajal na jednej z Wysp Kanaryjskich, wiosna 2006 roku. Na pierwszym planie: imigrant z Afryki, który sforsował Morze Śródziemne na prowizorycznej łodzi.

# Oburzeni obrażeni



ANNA GRODZKA  
Autorka felietonu jest posłanką Ruchu Palikota

Rozprawa zaczęła się z opóźnieniem około 30 minut. Tym razem odbyła się w dużo większej sali sądowej niż poprzednio – było miejsce do siedzenia, nikt nie musiał się tłoczyć ani stać pod ścianą. Pozywający to osoby nieheteronormatywne – prywatnie występujące za własne pieniądze w procesie cywilnym – oraz przedstawiciele wspierających je organizacji pozarządowych. Proces trwa już dwa lata. Ze strony pozwanej nie pojawił się nikt. Sąd powiadomił obecnych, że wszyscy pozwani (Tomasz Terlikowski, Andrzej Krauze, Paweł Lisicki) oraz pełnomocnik pozwanej, Presspublica sp. z o.o., zostali prawidłowo powiadomieni.

W roli narzędzia zbrodni: rysunek. Przedstawia faceta w garniturze i kożę stojących w kolejce do urzędu stanu cywilnego. Tuż przed nim urzędnik udziela ślubu dwóm mężczyznom. Dymek tekstu parujący z ust faceta z kożą przemawia do kozy: „Jeszcze tylko ci panowie wezmą ślub, a potem już widać nie dla wszystkich.”

W konsekwencji publikacji tego rysunku przez „Rzecz” pojawiło się sporo nie-wybrednych, obraźliwych komentarzy, w których dalej epigońsko porównywano związek osób tej samej płci z zoofilią. Swo-

ich wrażliwych odczuć po publikacji rysunku nie omieszkał oczywiście wyrazić także znany rycerz miłosiernych obyczajów Tomasz Terlikowski, który napisał: „Jeśli prokreacja, wychowanie i wierność nie mają znaczenia w stosunkach dwóch partnerów, a celem jest tylko ich zadowolenie, to nie ma powodów, by czynić różnicę między relacją homoseksualną a zoofilską”. Ostatnio tego typu skojarzenia pojawiły się na sali sejmowej w świątym komentarzu posła Suckiego. Serial spod znaku wielkości ludzkiego rozumu, miłości bliźniego i miłosierdzia trwa. A wymiar sprawiedliwości czyni swoją powinność. Wyrokuje. W tym przypadku w sentencji wyroku mówi się, że nikt nikogo nie obraził, bo nie było konkretnej osoby, do której odnosić się miał obraźliwy rysunek.

W relacji z procesu usłyszałam opinię, że sądowi sprawiło trudność wypowiedzenie słów „nieheteronormatywny” czy „homoseksualny”. Przeczytałam: „Miało miejsce przemieszczanie się sędziego na fotelu, moszczenie się, łapanie za oparcie fotela, a także zabawa dużą zieloną gumką aptekarską”. Nuda! Sędzia widocznie ożywił się podobno dopiero, gdy pełnomocnik strony pozwyjającej wspominał o nieprawomocnym wyroku sprzed kilku dni, w którym „pewna artystka” została skazana, bo jakaś osoba poczuła się dotknięta jej wypowiedzią na temat „autorów Biblii”. Chodziło oczywiście o Dode.

Prokuratura żądała dla pozwanej kary grzywny w wysokości 10 tys. zł. W dodatku groziło jej do dwóch lat pozbawienia wolności. Wyraziła bowiem przekonanie, że Biblię spisywali ludzie „napruci winem i paląc jakieś zioła”. Sąd rejonowy zawyrokował: „winna”, mimo że także i w tym przypadku nie sposób ustalić, kogo z żywych obrażają te słowa. Cóż, inna klasyfikacja prawna, prokurator, więzienie, obraza uczuć religijnych. Super! Co? Niektóre uczucia według prawa są w naszym kraju ważniejsze niż inne. Niektórzy ludzie są warci więcej niż

inni. Nie z powodu swych zasług i zalet, ale dla zasady.

Pod koniec stycznia na posiedzeniu sejmowej Komisji Kultury, zwołanym na wniosek Prawa i Sprawiedliwości, pojawiła się nadzwyczaj silna, doprawdy rozhisteryzowana reprezentacja posłów tej partii. Sala pełna była posłów PiS i Solidarnej Polski. Nawet tych, którzy nie są członkami komisji. Byli też zaproszeni przez nich goście spoza parlamentu. Przedmiotem obrad była nieprawomocna i nieuzasadniona, ich zdaniem, decyzja Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji o nieprzyznaniu Telewizji Trwam koncesji na nadawanie w nowym, pierwszym cyfrowym multipleksie. Trwam jest marką fundacji Lux Veritatis, nadzorowanej przez redemptorystów. Dla jasności dodam, że legalny proces odwoławczy jest w toku, a KRRiT uzasadnia swoją decyzję brakiem spełnienia przez Lux Veritatis wymaganych warunków gwarancji finansowej.

Pani poseł Kruk z PiS zaczęła domagać się udzielenia poza kolejnością głosu „ojcu Tadeuszowi Rydzykowi” – przedstawicielowi fundacji Lux Veritatis, która w moim przekonaniu jest w sposób oczywisty stroną w całej sprawie.

Zapytałam zatem, wydaje mi się całkiem zasadnie, czy pan Rydzyk jest zarejestrowanym w Sejmie lobbystą, bo – pomyślałam – przecież nie przyszedł do Sejmu wygłaszać homilii. Luuudzieeee! Co się działo...

Nikt nie dyskutował o tym, czy jest, czy nie jest lobbystą. Powiedziałam „pan Rydzyk”. Krzyk: „obraza!”, „ta osoba (niby ja) nas obraziła!”, „skandal!”. Przewodnicząca wyszła. Głosu panu Rydzykowi udzielił wiceprzewodniczący komisji kultury z PiS.

Nieraz pytają mnie, dlaczego Palikot upiera się, aby usunąć krzyż z sali sejmowej? „Bo przecież to tradycja!”. „Przecież większość społeczeństwa jest wierząca”. „Komu to szkodzi?”. Odpowiadam: szkodzi demokracji, sprawiedliwości, prawu, mniejszości i w tym kontekście choćby... wyrokom sądowym oraz decyzjom komisji sejmowych. ●

# Sony gra o życie

22 lutego do sklepów w Europie trafi przenośna konsola Sony PlayStation Vita – gadżet o mocy obliczeniowej wielokrotnie większej niż ta, którą dysponowała NASA w czasach podboju Księżyca. „Przekrój” dostał PSV dwa tygodnie temu i dobrze mu się przyjrzał. Czy to jednak wystarczy, by podbić planetę Ziemia?

**OLAF SZEWCZYK**

W roku 2000 świat obiegła plotka, jako by Saddam Husajn kupił parę tysięcy konsol PlayStation 2. Połączone w superkomputer miały sterować systemem naprowadzania broni rakietowej – wystarczająco zaawansowanym, by dyktator mógł na nowo rysować mapę regionu, radośnie wygumkowując z niej parę państw z Izraelem na czele. Nie wiemy, czy ten humbug (?) grał jakąś rolę przy podejmowaniu przez Amerykanów decyzji o wysłaniu armii na II wojnę w Zatoce Perskiej, ale podziw dla japońskiej myśli technicznej na pewno był żywy także wśród wojskowych USA. Dekadę później Departament Obrony zamówił dla Sił Powietrznych komputer złożony z 1760 sztuk PlayStation 3, dysponujący budzącą respekt mocą 500 teraflopów (jeden teraflop = 10 do potęgi 12 operacji zmiennoprzecinkowych).

Kieszonkowa – dosłownie, da się ją schować w kieszeni marynarki – konsolka PlayStation Vita ma moc obliczeniową prawdopodobnie niewiele mniejszą niż PlayStation 3. Początkowo Sony utrzymywało, że porównywalną, ale z czasem spuściło z tonu. Pewnie dałoby się wycisnąć z elektroniki więcej, tyle co w starszej siostrze, ale wtedy bateria wytrzymałaby krócej, a w sprzęcie przenośnym żywotność to wartość kluczowa. Niewątpliwie jednak czterordzeniowy procesor wsparty również czterordzeniowym układem graficznym, przy zasobach pamięci wewnętrznej

nawet większych niż w PS3, to wystarczająco wiele, by na ekraniku pokaźniejszym niż w iPhone, a nawet w Samsungu Galaxy S II, wyświetlać bez zadyszki cieszące oko, złożone, nowoczesne gry.

Ale czy będziemy chcieli zanurkować w tę przygodę? Czy PlayStation Vita sprzeda się wystarczająco dobrze, by ponoszące z roku na rok duże straty Sony stanęło na nogi? To nie jest pytanie tylko o kondycję japońskiego giganta elektroniki użytkowej. To przede wszystkim pytanie o kształt przyszłego rynku gier wideo – najważniejszego sektora show-biznesu XXI w.

## Wszystko, co trzeba i o co nie wstydziliście się prosić

PlayStation Vita dotarła do redakcji „Przekroju” dwa tygodnie temu. Zdążyliśmy się jej dokładnie przyjrzeć, by doradzić wam, czy jest warta bliższej znajomości. Odpowiedź na powyższe pytanie zależy od tego, czego od owej zabawki oczekujecie.

Vita ma wszystko to, co konsola przenośna powinna mieć. W tym to, czego najbardziej brakowało PlayStation Portable – pierwszej kieszonkowej konsoli Sony, obecnej na rynku od siedmiu lat. Poza zapasem mocy jak w wyścigowym Porsche, Vita kusi większym niż w PSP (4,3 cala) pięciocalowym ekranem, notabene wielodotykowym. Zbudowanym już nie w technologii LCD, ale OLED – gwarantującym bardziej soczyste kolory, większe kąty widzenia, jaśniejszym, zdolnym wyświetlać detaliczne obrazy (rozdzielczość dwukrotnie



wyższa: 960 x 544 wobec 480 x 272 w PSP). Gry już teraz wyglądają naprawdę ślicznie. Kieszonkowa „Uncharted: Złota Otchłań” z grą, która przypomina obrazem to, co znamy z dużego ekranu podłączonego do PS3, a przecież wszystkie dotychczas wydane tytuły z cyklu „Uncharted” słynęły z urody. Pamiętajmy przy tym, że gry szykowane na debiut rynkowy konsoli nigdy nie oddają pełni jej możliwości. Programiści dopiero z czasem uczą się, jak wykorzystać moc obliczeniową nowego urządzenia. Najważniejsze jest jednak to, że posłuchajcie graczy domagających się, by w nowej konsoli były dwa drążki sterownicze, tak jak w poprzednich (kontrolerach) do konsol stacjonarnych. Dzięki temu na kieszonkowej konsoli będą miały wreszcie rację bytu te gry, które wymagają precyzyjnego sterowania, na przykład

celownikowe. Branie wroga na muszkę już nie jest mordęgą. Podobieństwo Vity do padów pozwoli także na łatwą adaptację przebojów z repertuaru PlayStation 3, a nawet na granie w tytuły uruchomione na PS3, przy bezprzewodowej transmisji danych do Vity. Wyobraźmy

W przyszłości będzie też można zapisać stan gry w „chmurze” – gdzieś na odległym serwerze – co pozwoli po zakończeniu sesji przed telewizorem kontynuować przygodę na małym ekranie podczas podróży, gdy zły szef wysle nas w delegację na Bahamy. PlayStation Vita – obiecują władarze Sony – rozświetli mroki życia.



**PlayStation Vita** w wersji z modułem 3G (i GPS) można już zamówić za ok. 1300 zł. Jeśli wystarczy nam połączenie z Internetem przez Wi-Fi, zapłacimy circa 1050 zł. Warto dokupić kartę pamięci. Najmniejsza, 4 GB, to wydatek 100 zł. Gry, przetłumaczone na polski (tak, w Nathana Drake’a znów wcielił się znakomity w tej kreacji Jarosław Boberek, jego partnerkę dubbingowała Dorota Gardias), kosztować będą prawdopodobnie od 140 do 200 zł. No cóż, to nie są ceny okazyjne, ale z czasem powinny nieco opaść



Tylny panel, tak jak ekran, jest czuły na dotyk. To nowy, autorski pomysł Sony na sterowanie w grach



sobie, że w samym środku akcji, gdy w pocie czoła ratujemy galaktykę, koleżanka małżonka oświadcza, że musi, po prostu MUSI obejrzeć kolejny odcinek ulubionego serialu, w związku z czym mamy opuścić strategiczną pozycję na kanapie przed telewizorem. Co zrobić? Potulnie kładziemy uszy po sobie i kontynuujemy walkę w pokoju obok, już na ekranie PlayStation Vita.

Vita ma także żyroskop, kamerę z przodu i z tyłu, mikrofon, może łączyć się z siecią przez Wi-Fi lub – w droższej wersji – GSM. Nie ma, w przeciwieństwie do poprzedniczki, napędu płyt UMD, gry zapisywane są na miniaturowych kartach pamięci. Można je będzie także ściągać z Internetu. Najbardziej egzotyczną nowością jest panel dotykowy z tyłu, dający ciekawe możliwości projektantom

– pozwala wydawać komendy gestami palców bez zasłaniania nimi ekranu. Na przykład w „Uncharted: Złotej Otchłani” na tylnym panelu wyznaczamy trasę wspinaczki bohatera po skałach i obracamy znalezione przedmioty, by obejrzeć je z każdej strony.

## Czy Vita wygra?

PlayStation Vita to fantastyczna, przemyślana zabawka, ale nie brak głosów, że jest skazana na klęskę. Kto będzie chciał nosić ze sobą przenośną konsolę, skoro już taska w kieszeni smartfona, na którym też da się uruchomić najróżniejsze gry? W dodatku dostępne za darmo lub za parę złotych, podczas gdy produkcje na PlayStation Vita kosztują nieporównywalnie większe pieniądze?

Za późno – kręcą głowami analitycy. Za drogo. I bez sensu. Na konsolach przenośnych sprawdzają się drobiazgi, które można włączyć na pięć minut, a potem bez bólu je wyłączyć. Logiczne? Pozornie tak, ale to najwyżej półprawda. Nie wiemy, jak na ów test zareaguje rynek, Vita nie jest bez szans. Owszem, miliony użytkowników smartfonów zachwycają się prostymi miniaturowkami w rodzaju „Angry Birds” czy „Cut the Rope”, ale to w większości osoby, które z grami wideo nie miały dotąd romansu. Paradoksalnie są szansą dla Sony. Kiedyś mogą nabrać apetytu na coś więcej – na duże, złożone produkcje. Część z nich to potencjalni nabywcy Vity.

Po nową kieszonkową konsolę Sony mogą też chętnie sięgać weterani elektronicznej rozrywki. Ci, którzy kiedyś ochoczo spędzali godziny przed monitorem, a dziś nie mają na to szans, bo pochłonęły ich rodzina i praca. Dla nich konsola przenośna Sony jest szansą na powrót do dawnej pasji. Na zabawę właśnie grami długimi, rozbudowanymi, z wyższej półki. Takimi, które będą mogli kończyć w wolnych chwilach, choćby w drodze do pracy lub w przerwach na lunch.

Czy jest ich już wystarczająco wielu, by PlayStation Vita stała się przebojem obecnej dekady? Obstawiamy, że są na to szanse, ale o tym dziś nie potrafi przesądzić nikt.



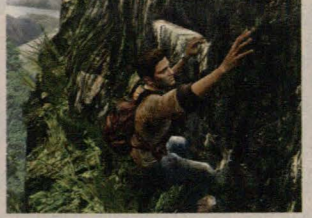
**Wipeout 2048**  
Futurystyczne wyścigi antygravitacyjnych latacdek – można sterować, przechylając konsolę jak kierownicę, czując żyroskopy przełożą to na skręty maszyny. W sieci łatwo znajdziemy żywych rywali. Pompa adrenaliny.



**Little Deviants: Mali rozrabiacy**  
Wdzięczna gra dla dzieci wykorzystująca unikalne możliwości Vity. Pukając w tylny panel, deformujemy teren, tworząc pagórki – bohater przemieszcza się, turlając po zboczach. I wiele innych pomysłowych rozwiązań.



**Everybody's Golf**  
Niech nikogo nie zmylą zawodnicy w żelkowym stylu manga – w wirtualnego golfa z tytułowej serii (w USA znanej jako „Hot Shots Golf”) zagrywają się od lat do upadłego także dorośli. Poprawka na wiatr iii... O, psiarew.



**Uncharted: Złota Otchłań**  
Najbardziej widowiskowa gra gotowa na premierę Vity – prequel przygód Nathana Drake’a, bohatera megahitów z PlayStation 3. Szukamy skarbów w amazońskiej dżungli, flirtujemy z dziewczęciem w opałach, unikamy kul.

# Naziści na biegunie i mordercze mikroby



Zimno wam? Pff, mięczaki. Rosjanie, wierząc przy 66-stopniowym mrozie, dowiercili się do ukrytego pod lodem Antarktydy jeziora sprzed 14 mln lat. Chyba. Pewne jest natomiast, że od tego zawrzało

OLAF SZEWCZYK

**C**zego boicie się bardziej? Zagłady życia na Ziemi zmiecionej agresją zmutoowanych mikroorganizmów sprzed milleniów, uwolnionych z zagrzebanej pod lodami Antarktydy gigantycznej puszkii Pandory? Nie mniej morderczego tsunami, które zaleje lądy, gdy wybuchną zgromadzone głęboko pod powierzchnią gazy? A może rewanzu nazistów, którzy knując latami w tajnej podbiegunowej bazie, wypetzną w kofcu ze swych śnieżnych jaskiń z jakąś wunderwaffe?

Niesamowite, jakie emocje może wywołać odkrycie, którego na dobrą sprawę jeszcze nie dokonano.

Może pamiętacie – o ekscytującym przedsięwzięciu rosyjskich naukowców pisaliśmy w „Przekroju” rok temu. Zreasumujemy: z grubsza cztery kilometry pod założoną na Szóstym Kontynencie stacją badawczą Wostok znajduje się największe ze 140 subantarktycznych jezior, także o nazwie Wostok. Jest długie na 250 km, w najszerszym miejscu liczy 50 km. Największa głębokość sięga 800 m, średnia – 344 m. Od kiedy 14 mln lat temu (niektórzy sądzą, że 20 mln) zamknęły się nad nim lody, jest kompletnie odizolowane od reszty świata. Jest w rzeczy samej kapsułą czasu, a to znaczy, że może ukrywać w sobie najróżniejsze biologiczne cuda. W wodzie o temperaturze –3 st. Celsjusza, ciekłej dzięki wysokiemu ciśnieniu i ciepłu bijącemu od płynnego jądra Ziemi, a także niezwykle bogatej w tlen (od 10 do 20 razy powyżej normy) może istnieć życie. Jesteśmy bardzo ciekawi jakie.

Rosjanie, którzy próbują dowiercić się do jeziora już od kilkunastu lat, mieli wielką nadzieję na sukces rok temu. Gdy od celu dzieliło ich zaledwie kilkadzie-



Alexey Elakkin/Handout/REUTERS/FORUM

siąt metrów, zmuszeni byli przerwać prace – ewakuowali się 6 lutego. Da się wiercić przy –40 stopniach, a nawet –66, jak zdarzało się w tym roku. Gdy jednak temperatura na powierzchni spada poniżej –80 stopni, lepiej znajdować się wtedy gdzie indziej. To właśnie na stacji Wostok zarejestrowano rekordowo niską temperaturę w historii pomiarów na Ziemi: –89,2 st. C.

Tym razem naukowcy zdążyli przebić się w ostatniej chwili. A przynajmniej mają taką nadzieję. Pewność zyskują, gdy wiosną wyciągną wiertło i rozmrzną wodę.

Budząca największe od lat emocje ekspedycja naukowa stopniem trudności i obietnicą przełomowych odkryć przypominająca lot na inną planetę, pozostawiła nas zatem na całe miesiące w pełnym nerwów oczekiwaniu, urywając transmisję w najciekawszym momencie. Hitchcock by tego lepiej nie

wyreżyserował. No, ale jakoś to skumulowane napięcie rozładować trzeba. Zaczynają się spekulacje.

Niektórzy uderzają w apokaliptyczne tony. Spokojnie – prawdopodobieństwo, że nagromadzone w zbiorniku jeziora gigantyczne ilości tlenu i innych gazów, tworzących z tlenem niebezpieczną mieszankę, eksplodują, jest nikłe. Chyba przepytującym naukowców dziennikarzom puściły nerwy i co zastrzeszczało na łączach. Niebezpieczeństwo infekcji groźnymi mikroorganizmami, przed którymi nie potrafimy się bronić, jest jednak jak najbardziej realne. Rosyjscy badacze są tego świadomi, ale zapewniają solennie, że podejmą wszelkie niezbędne środki ostrożności. No cóż.

Najzabawniejsze są chyba sensacje rosyjskiej agencji Nowosti. Otóż jakoby pod koniec II wojny światowej nazisci założyli bazę przy jeziorze Wostok. Cytują nawet admirała Karla Dönitzera, który jakoby miał rzec, że niemiecka podwodna flota stworzyła dla Führera na drugim końcu świata fortę nie do zdobycia. „Daily Mail” poszedł na całość. „Według archiwów niemieckiej marynarki” U-Booty miały dostarczyć na biegun południowy najpierw sekretne akta, a potem szczątki Hitlera i Ewy Braun (by kiedyś można było ich wskrzesić z DNA, rzecz jasna). Jeszcze weselej czyta się o całej nazistowskiej kolonii Neuschwabland, z ukrytymi pod antarktycznym lodem okrętami podwodnymi.

Odkrycia w jeziorze Wostok atomowych U-Boatów, szykujących się od dekad do rewanzu na aliantach, raczej nie należy się spodziewać. Kto jednak wie, czy to, co znajdziemy wiosną w wodach sprężonych, nie wzbudzi jeszcze większej sensacji? To będzie wyjątkowo długa zima.

promieniową w swej lewej ręce, po czym wcisnął do niej gumowy cewnik moczowy. Parę chwil później był pierwszym człowiekiem w historii, w którego bijącym sercu zagłębił się cewnik.

Lata później Forssmann zmuszony był dorabiać jako drwal, żeby utrzymać rodzinę. Gdyby nie dwóch amerykańskich kardiologów, którzy trafili na jego artykuł, zmarłby zapomniany i nigdy nie otrzymałby zasłużonego Nobla. Czyta się jak kryminał, prawda? Tak jak całą książkę, jest świet-



„Genialna maszyna. Biografia serca”, Stephen Amidon, Thomas Amidon, przeł. Adriana Celińska, wyd. Żnaki, 37,90 zł

## TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

KAROLINA SAWICKA

### 1. Czy to prawda, że płakaniu przy krojeniu cebuli zapobiega trzymanie w zębach zapalki główką na zewnątrz?

No cóż – i tak, i nie. Dlaczego właściwie zlewamy się łzami nad zwykłym warzywem? Cebula wywołuje szczypanie oczu, ponieważ w jej komórkach znajdują się enzymy, które w zetknięciu z aminokwasami zawierającymi siarkę wytwarzają kwas sulfonowy. Ten z kolei, w wyniku działania kolejnego enzymu, przekształca się w gaz o nazwie S-tlenek tiopropanalu. I to on właściwie drażni zakończenia nerwowe w oczach i śluzówce nosa. Co w tym wszystkim może zmienić zapalka? Na pewno nic z chemicz-

nego punktu widzenia – gaz nie zareaguje szybko z suchą główką czy drewnikiem. Może więc chodzi o jakieś inne zjawisko? Trop prowadzi prawdopodobnie do tego, że kiedy trzymamy coś w ustach, to zwykle uchylamy je. A oddychanie przez usta zamiast przez nos sprawia, że mniej S-tlenku tiopropanalu trafia do śluzówki nosa i podrażnienie nerwów jest słabsze. Czy istnieją jednak skuteczniejsze od zapalkowego sposoby na cebulę? Jeśli ktoś nie chce występować w masce do nurkowania czy oku-



Film/Corbis

larach pływackich, to polecamy... Po pierwsze, włożenie cebuli do zamrażalnika na kilkanaście minut przed planowanym krojeniem. W zimnie enzymy wolniej działają, więc wydzieli mniej drażniącego gazu. Drugi sposób to krojenie warzywa pod wodą – można zanurzyć

ręce w misce czy zlewie lub po prostu ciąć cebulę pod bieżącą wodą. Trzeci to używanie bardzo ostrego noża. Im ostrzejszy, tym mniej komórek ulega zmiżdżeniu i tym mniej enzymów zostaje uwolnionych. Ale zapalka w ustach z pewnością też nie zaszkodzi.

### 2. Dlaczego, kiedy po kąpieli otworzę okno w łazience, z zewnątrz wałą kłęby pary wodnej?

Podczas kąpieli czy brania prysznicu powietrze w łazience nagrzewa się mocno (bo kto w zimnie chciałby brać zimny prysznic?). Jednocześnie ciepła woda łatwo paruje – mocno drgające cząsteczki uciekają chętnie z powierzchni kropelki rozpraszają się w powietrzu. Co ważne – para wodna jest niewidoczna. To gaz, oddzielne cząsteczki H<sub>2</sub>O rozproszone między molekułami powietrza. Już kilka minut mycia wystarczy, by powietrze nasyciło się parą wodną do takiego stopnia, że więcej jej już nie jest w stanie

„się opakować”. W momencie gdy otwieramy okno, do wewnątrz zaczyna wlatywać zimne, a obecnie wręcz lodowate powietrze. A im powietrze zimniejsze, tym mniej pary wodnej może przetrwać. Zaczyna się więc gwałtowny proces skraplania – cząsteczki skupiają się w mikroskopijne kropelki, a te są widoczne. Coraz mniej jest pary wodnej, a coraz więcej wodnej zawiesiny, łatwo zauważalnej. Zatem kłęby te nie wałą z zewnątrz, a powstają już w środku, w miejscu zetknięcia się ciepłego i zimnego powietrza.

### 3. Ile wody ucieka z kapiącego kranu?

Przy tak zadanym pytaniu czeka nas wiele założeń. Załóżmy więc, że mamy do czynienia z dużymi kroplami – niech mają 4 mm średnicy. I niech kapią co 10 sekund. Taka kropka ma objętość około jednej trzeciej milimetra, więc w ciągu minuty zbiorą się dwa mililitry, a w ciągu godziny – 120 mililitrów (około połowy szklanki). W ciągu doby będzie to już 2,88 litra, w ciągu tygodnia ponad 20 litrów, co daje w ciągu roku ponad tysiąc litrów. Warto wymienić uszczelkę.



### Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

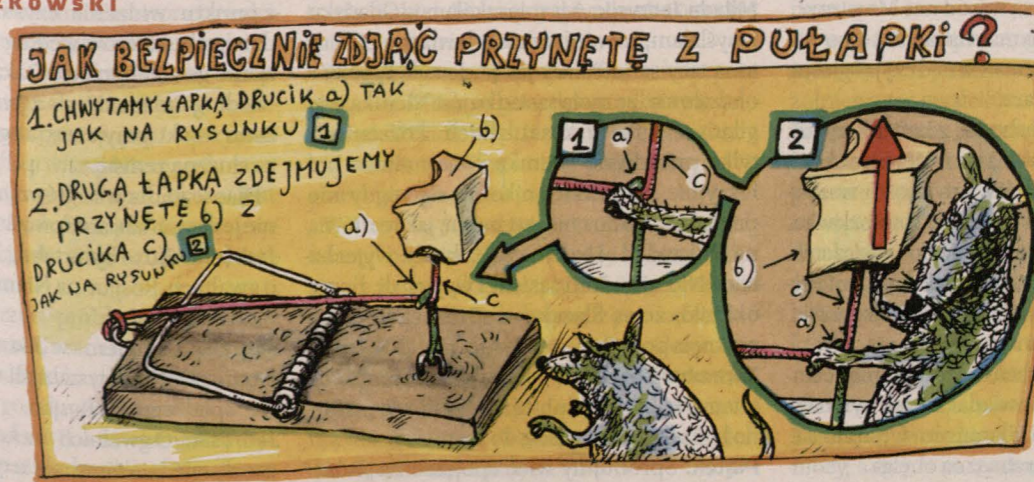
## Cor hominis

Podczas lektury „Genialnej maszyny” serce bije żywiej

**B**ył rok 1929, w Szpitalu im. Augusty Wiktorii w Eberswalde dyżur miał tego dnia 24-letni lekarz Werner Forssmann. Przywiązując do łóżka 18-letnią siostrę Gerde (starał się nie myśleć o tym, jak zgrabne ma nogi), nie czuł wyrzutów sumienia. Przychylna mu pielęgniarka ze Śląska w trosce

o jego życie chciała zaalarmować ordynatora, a Forssmann nie mógł pozwolić, by coś przerwało eksperyment. Na szczęście nie musiał stosować oprócz więzów knebla – krzyki dochodzące z sali operacyjnej nie wzruszyłyby nikogo. Na oczach przerażonej dziewczyny naciał skalpelem żyłę od-

MAREK RACZKOWSKI





# Western o żołnierzu i Róży

Czy „Róża” Wojciecha Smarzowskiego to pierwszy polski film o wojennej przemocy wobec kobiet, czy kolejna wersja opowieści o świętości AK?

**Tomasz Piątek:** Czy są wśród nas Mazurzy?  
**Marcin Zaremba:** A to ma znaczenie?

**Piątek:** Inaczej się rozmawia nad czyjąś głową, a inaczej twarzą w twarz.

**Agata Czarnacka:** Pochodzę z Lubelszczyzny, gdzie tożsamość od dawna się zaciera: polskość, ukraińskość, białoruskość, rosyjskość – wszystko jakoś się miesza, nikomu to nie przeszkadza. Pewnie jest to uprzywilejowane doświadczenie. Może dlatego uważam, że użycie kategorii tożsamości etnicznej w filmie „Róża” – i rozmowie o nim – to wyjątkowy anachronizm.

**Piątek:** Ja wiele lat pracowałem z Ukraińcem z Koszalina, który opowiadał, że jak był mały, to za nazwanie kogoś Ukraińcem wcierało się piasek w oczy. To była straszna obelga.

**Milada Jędrysik:** A ja mieszkałam w Gdańsku i myślałam, że wszyscy sąsiedzi na mojej ulicy to są tacy sami Polacy jak ja. I nagle w 1989 r. okazało się, że moja sąsiadka jest Niemką, nie gdańszczanką o kaszubskich korzeniach, tylko prawdziwą Niemką. Ona mówiła perfekcyjnie po polsku i nikomu się nigdy nie przyznała, że ona nie jest nasza, jak to mówią na Bałkanach. I to był szok, kiedy wyjechała do Niemiec. Inni sąsiedzi wyjechali, bo się okazało, że są Ślązakami. Duża część ulicy zniknęła po 1989 r.

**Zaremba:** Rozpoznanie, czy jesteśmy mężczyznami, kobietami lub Mazurami, nie powinno być punktem wyjścia do rozmowy.

**Piątek:** Spróbujmy więc spojrzeć na „Różę”

z punktu widzenia czysto ludzkiego, dzieląc bohaterów według narodowości. Rosjanie gwałcili przecież także Polki, z tym że – według Sołżenicyna – zgwałcenie Polki uważano za akt przyjazny, a zgwałcenie Niemki za słuszną zemstę.

Dlaczego dla was głównym tematem filmu nie jest czystka narodowościowa, tylko gwałt? **Jędrysik:** Bo to było tabu. Kiedyście czytali o gwałtach Rosjan na Niemkach? W „Blastach” nym bębenku”...

**Piątek:** Czytałem w „Gazecie Wyborczej” o tym, jak Niemcy zabijali swoje córki, że nie wpadły w ręce Rosjan.

**Jędrysik:** O gwałtach na kobietach w Niemczech wiedzieliśmy, ale o tym, że gwałcili

także Mazurki, Ślązaczki, Polki – o tym się w ogóle nie mówiło.

**Czarnacka:** Jestem fanką powojennej polskiej powieści kobiecej. Znalazłam w tych książkach sporo wzmianek o gwałtach. Nie mówiło się o tym dużo, raczej dyskretnie, ale wiadomo było: ta i ta były zgwałcone. To doświadczenie obrastało torbielą.

**Zaremba:** Do końca PRL nie można było mówić, że żołnierze Armii Czerwonej gwałcili. Dlatego w literaturze i filmach dotyczących tak zwanych Ziemi Odzyskanych ten temat praktycznie nie istniał. Miasteczka ponemieckie w „Czterech pancernych” są wymarłe, tam tylko białe flagi wiszą. Nie ma nikogo.

Po drugie, historiografia genderowa jest w Polsce w powijakach. Tak jak dzinsy przyszyły do nas później, tak mody naukowe docierają z opóźnieniem.

Istnieje także trzeci problem – kulturowy. Ola Wat pisze, że w Kazachstanie kilka razy była gwałcona, ale za każdym razem ona w ostatniej chwili go odpycha i on ucieka. Seksalność jest ciągle w Polsce stabuizowana. Metafora torbieli jest bardzo dobrą metaforą.

Najgorsze, że jest za późno. O ile w Niemczech przez wiele lat badacze zebrali bardzo wiele relacji, o tyle w Polsce nie żyje już większość ofiar i świadków. Nie mamy danych.

**Jędrysik:** Są jakieś szacunki?

**Zaremba:** Pod koniec wojny nawet dwa miliony niemieckich kobiet – zdaniem Antony’ego Beevora – padło ofiarą radzieckich żołnierzy. W Budapeszcie zgwałcono prawdopodobnie 50 tys. kobiet. Historycy szacują na 10–20 tys. liczbę gwałtów w Czechach.

W Polsce w operacji zimowej od stycznia 1945 r. brały udział ponad dwa miliony żołnierzy radzieckich, więc liczba gwałtów musiała być znacznie większa niż w Czechach i na Węgrzech, mogła przewyższać 40 tys.

W Toruniu 50 kobiet zgłosiło w szpitalach fakt zgwałcenia. Były to zwykle kobiety, które zaszyły w ciążę albo zostały pobite przy tej okazji. W Kielcach nie było garnizonu radzieckiego, jak w Gdańsku, w Elblągu, w Królewcu czy w Szczecinie. A jednak zarejestrowano tam 30 zgwałconych kobiet, w tym dziewięcioletnią dziewczynkę. W Olkuszu w ciągu dwóch dni zgłosiło się 12 kobiet.

**Piątek:** To czubek góry lodowej.

**Zaremba:** Większości przypadków nie było gdzie zgłaszać, bo nawet szpitala nie było. Żeby dowieźć kobietę do lekarza, trzeba było mieć konia, a przecież nie było koni. Ciemna liczba to nie tylko kwestia tabu, ale całego powojennego chaosu, który w tym filmie jest doskonale pokazany.

**Czarnacka:** Dzisiaj zgłasza się jeden gwałt na osiem.

**Zaremba:** Wtedy to mógł być jeden na 50.

**Jędrysik:** Jest jeszcze jedno tabu: czy polscy żołnierze też gwałcili?

**Zaremba:** O tak. „Czterech pancerni” też.

**Czarnacka:** W moim odczuciu ten film naprawdę o świętości AK. Ludzie z AK są w nim świetni, dzielą się, budują, stają w obronie, natomiast cała reszta jest okropna. A ja u mojej własnej babci znalazłam zdjęcie partyzantów z AK, którzy sterroryzowali wieś na Lubelszczyźnie. Wszyscy mieszkańcy rządkiem klęczeli z nosem w podmurówce stodoły.

**Zaremba:** W czasie wojny ludzie się uczą przemocy, a wojna partyzancka jest bardziej →





## FILM



# Córka sklepikarza i smoki

JAROSŁAW PIETRZAK

Est w filmie jedna naprawdę świetna scena. Pierwsza. W typowym angielskim „sklepie na rogu” Margaret Thatcher kupuje butelkę mleka. Dla Brytyjczyków to czytelna aluzja do jednego z niegdysiejszych przezwisk Żelaznej Damy wynalezionej, gdy jeszcze jako education secretary usunęła ze szkół darmową porcję mleka: „Thatcher, milk snatcher”. Była premier kieruje się powoli do lady. Wpycha się przed nią bez pardonu produkt jej własnego „there is no such thing as society”. Przy samej kasie szokuje ją cena butelki mleka, owoc jej „there is no alternative”. Ta scena jest obietnicą zupełnie innego filmu niż ten, z którym potem jesteście zostawieni.

W „Żelaznej Damie” Phyllida Lloyd roi się od archiwalnych materiałów, pokazujących społeczne tło epoki najzarliwiej nienawidzonej szefowej rządu w XX-wiecznej historii Wielkiej Brytanii. Ale z tymi archiwaliami mam kilka problemów. Po pierwsze – pozostają w pamięci jako niemal jedyne bardziej spektakularne ujęcia w całym filmie. Poza nimi mamy bez mała sprawnie zrobiony teatr telewizyj. „Dame” nakręcono bowiem w zaledwie kilku wnętrzach, w któ-

„Żelazna Dama” to film wypreparowany z politycznego kontekstu. Pokazuje osobę budzącą sympatię widza, a nie kogoś, kto swoim publicznym działaniem uczynił świat miejscem gorszym, niż był wcześniej

rych ludzie albo siedzą przy stole, albo leżą w łóżku, albo idą korytarzem. Dziwna formuła dla biografii postaci o epickim znaczeniu dla losów nie tylko Wielkiej Brytanii, ale i dla reszty świata. Jakby po honorarium dla Meryl Streep nic już nie zostało w budżecie. Wrażenie teatralności potęguje podstawowe rozwiązanie dramaturgiczne. Czas teraźniejszy filmu, na którym cały jego szkielet jest rozpięty (reszta to retrospekcje), to kilka dni starszej już bardzo Mrs Thatcher w jej rezydencji. Była premier cierpi na daleko posuniętą demencję i ciągle rozmawia ze swoim zmarłym mężem.

Drugi problem z archiwaliami jest taki, że choć pokazują starcia rozwścieczonego społeczeństwa z państwowym aparatem przemocy wytoczonym na ulice w obronie interesów bogatej mniejszości, to odesana jest z nich jakakolwiek treść polityczna. Nie są umieszczo-

nych w żadnym kontekście – jeżeli ktoś nie wie, co pokazują, to się prawdopodobnie nigdy nie domyśli. Kto wychodził na ulice, w obronie czyich interesów, a czyje interesy forsowała polityka partii konserwatywnej i rządu Thatcher? Film nie mówi nic o tych sprawach, bo konflikty polityczne zostały z niego wymazane gestem przeniesienia całej złożoności rzeczywistości na poziom „psychologii postaci”.

Margaret to ambitna córka sklepikarza, która postanawia zostać rycerzem i „zrobić coś”, co będzie „mieć znaczenie”. Dumnie stawia czoła rywalom i – mimo startu z gorszej pozycji – z nimi wygrywa, a szalejąc na ulicach tłum to coś jak smok, którego trzeba pokonać, i oczywiście daje mu radę. Wojna o Falklandy jest tu pokazana do-kładnie tak, jak Thatcher chciałaby, żeby o niej myślano. Jej polityka „antyterrorystyczna”, upstrzo-

na skandalicznymi naruszeniami praw człowieka, sprowadzona jest do psychologicznej reakcji na osobiste traumy. Nawet jej polityczny koniec na stanowisku premiera, czyli nieudana próba wprowadzenia podatku pogłównego w tej samej wysokości od bezrobotnego, co od milionera wygląda tu jak starcie charakterów, w którym Margaret płaci cenę za zatwardziałość, jaką wpisały w jej psyche lata walki i jakiej nie odniosłaby wcześniej zwycięstw.

Archiwalne materiały dokumentalne, którymi upstrzony jest film, odsłaniają jeszcze jedną jego podświadomą właściwość. Trudno – zwłaszcza mieszkając w Wielkiej Brytanii – nie mieć przed oczami tego wszystkiego, co się przez ulice brytyjskich miast przetoczyło (największe od dekad strajki, demonstracje i zamieszki), odkąd do władzy doszedł David Cameron, pragnący dopełnić jej dzieła i rozwalić te społeczne zdobycze wiliżacyjne, które zdołały przetrwać Thatcher. Trudno mi się więc oprzeć wrażeniu, że co najmniej uzupełniającym zadaniem tej historii jest ustawienie dziejowej działalności Margaret Thatcher w walce z opo-rem własnego ludu w jednej linii ze skierowaną przeciwko włas-

społeczeństwu polityką obecnego rządu milionerów. Oczywiście, jest to kontynuacja tej samej linii, tyle że jest to linia nie do obrony.

Meryl Streep jest rzeczywiście w tytułowej roli niezła. Determinacja Margaret, jej wytrwałość i zdolność odnoszenia zwycięstw pomimo przeciwności – płęć i pochopienie – wszystko to budzi sympatię widzów. A także solidarność z osobą coraz bardziej osamotnioną i słabną na starość. Ale skupienie się na tych aspektach historii pani premier jest co najmniej podejrzane w stosunku do kogoś z dorobkiem Thatcher; kogoś, kto, owszem, zapisał się w historii, ale swoim publicznym działaniem uczynił świat miejscem gorszym, niż był wcześniej.

Sam fakt, że bycie kobietą przestało być przeszkodą w pełnieniu najwyższych funkcji publicznych, jest pozytywny, ale co z tego, jeżeli zmiana ta była tylko taktycznym liftingiem? Pozwoliła konserwatyście na przeprowadzenie całej lawiny reform sprzecznych ze społecznym postępem. Stopień ekonomicznych nierówności współczesnej Wielkiej Brytanii (rekordowy w zachodniej Europie) to owoc dokonanej przez Thatcher zwro- tu neoliberalnego. Ruina, w jakiej znajduje się obecnie światowa gospodarka, to zwińczenie trzech dekad domnacji doktryny pseudoekonomicznej, w której pułapkę Thatcher wprowadziła kontynent europejski. Wspierając jednocześnie tych, którzy – jak Pinochet – religię deregulacji i niewidzialnej ręki rynku forsował po trupach w innych częściach świata. Ekscesy „wojny z terroryzmem”, która sprawia, że w tzw. demokracji ludzie trafiają do Guantanamo albo tajnych więzień w Rumunii czy Polsce, za to, że są muzułmanami, to z kolei rekonfiguracja i globalizacja tego, co Thatcher robiła na własnym podwórku z Irlandczykami.

Strona internetowa IsThatcherDeadYet.co.uk, której zadaniem jest odliczanie czasu do śmierci Margaret i odpalenie imprez planowanych w całym kraju, gdy ziemia uwolni się już od jej ciężaru, czy oficjalnie wystosowana do rządu petycja domagająca się prywatyzacji jej przyszłego pogrzebu, co by uwieńczyła dorobek Żelaznej Damy i zdjęło to brzemień z podatnika – to niektóre przejawy gorących uczuć brytyjskiego ludu. Oczywiście, polskie media tak jej nie portretują.

„Żelazna Dama”, reż. Phyllida Lloyd, USA 2011, 105', Best Film, premiera 10 lutego

## KSIĄŻKI

# Portret artysty z czasów średniości

Na niełatwe pytanie, czy warto czytać opowiadania Adama Wiedemanna, odpowiadamy, że tak, zdecydowanie warto

MARCIN SENDECKI

No i proszę, jak ten czas leci. Jeśli pominię się „Sceny łózkowe” (zapisy snów z roku 2005), okaże się, że Adam Wiedemann poprzednią książkę z prozą (tom „Sek pies brew”) wydał 14 lat temu, niedługo po swoim o rok starszym prozatorskim debiucie, czyli zbiorze opowiadań „Wszedobylstwo porządku”. 30-letni wówczas autor rychło został etatową nadzieją polskiej prozy i doczekał się nawet Nagrody Kościelskich (bardziej chyba właśnie za prozę niż wiersze) w roku 1999, a więc w epoce, kiedy jeszcze Nagroda Kościelskich – od czasu do czasu – miała jakikolwiek sens.

Tak dobrze rokujący prozaik Wiedemann przez ostatnie lata wyżywał się książkowo raczej jako poeta – z sukcesami. Ale kto by się w dzisiejszych czasach przejmował sukcesami wierszy? Opowiadania pojawiały się tu i ówdzie, raczej ówdzie i bez większego rozgłosu – może z wyjątkiem opublikowanej w „Twórczości” autobiograficznej narracji pod tytułem „Prawda”,



Krzysztof Mystkowski/KFP

w której udało się Wiedemannowi pomieścić parę smacznych kłamstw, co wzbudziło przelotne ożywienie „środowiska”. „Prawdy” w nowym zbiorze opowiadań (opublikowanym w nieco niszowym wydawnictwie, naprawdę nikt z gigantów rynku tego nie wziął?) nie ma (trochę szkoda, bo to skądinąd śliczny tekst), ale jest bodaj cała reszta próz, które się zebrały przez lata – i taki zbrany Wiedemann na powrót okazuje się dla polskiej prozy nadzieją. Nadzieją nie na gruntowny remont (tu pomógłby chyba tylko napalm), lecz na wydatne poszerzenie aktualnej niszy, do której można udać się po coś pryncypialnie niekarczemnego.

Opowiadań jest w książce, jak ob- szył, 20, więc zdecydowanie można

się w niej rozgościć. Szczęśliwie, także związane z tytułem wstępne niepokoje, że nazywając tom opowiadań „Odpowiadaniem”, Wiedemann przemiescił się w rejony prozaicznego mroku Wojciecha Kuczoka, któremu z talentu zostało już tylko niby-śmieszne wykrzywi- nie słów, pozostają nieuzasadnione. Wiedemann nikomu oraz na nic nie odpowiada i wobec niczego się publicystycznie nie opowiada – opowiada natomiast o sobie, artyście w wieku średnim, po swojemu ży- jącym w nader średnich czasach, z naturalnością i swadą dalekimi od tego, co można zwykle przeczy- tać. No i tak to jest: „Myślisz, że coś przeżywasz, i nawet rzeczywi- ście przeżywasz to, a potem nagle wiesz, że nic nie przeżyłeś, i nic ci to nie szkodzi. Nic ci nie szkodzi, że nic nie pamiętasz z tego, cze- go nie przeżyłeś i co przeżyłeś, choć wydawało się ci się, że możesz nie przeżyć. Przeżyłeś to i nawet coś ci z tego przyszło” – pisze Wiede- mann w krótkim tekście o epizodzie z amerykańskiego stypendium w Iowa City.

No więc okazuje się, że wszystkim nam coś z tego przyszło. Ciąg dal- szy będzie mile widziany.



\*\*\*\*\*  
Adam Wiedemann „Odpowiadania”, Biblioteka Rity Baum, Wrocław 2011, s. 228, 27,90 zł

# Facebook renesansu

Popularnohistoryczny groch z kapustą. Wart jednak grzechu

Jak zawsze w „zbiorówce” tego rodzaju – w tym wypadku są to krótkie portrety „umysłów”, które kształtowały erę nowożytną” – raz jest lepiej, raz gorzej. Tu też zatem mamy do czynienia z wieloma uproszczeniami, ale wypadła docenić, że autorzy „Ludzi renesansu” generalnie dają sobie radę z instruktywnymi notami o ludziach, z których większość doczekała się niejednej biograficznej książki. Są tu artyści, władcy, uczeni, duchowni; papież i sławna kurtyzana; Kopernik, Masaccio, Palestrina i Machiavelli oraz legion innych ważnych osób, a więc zwyczajowy, popularnohisto- ryczny groch z kapustą, zgrabnie

podzielony na mające symulować narracyjny porządek „tematyczne” rozdziały. Mnóstwo się można jednak z tej książki dowiedzieć o postaciach, które mniej są danemu czytelnikowi (danej czytelniczce) znane – nie mówiąc już o młodziuży płci obojga, która wyniesie z niej wiedzę wstępną, acz bezcenną.

Co więcej, rzecz warta jest grzechu dzięki swej ikonografii, więc nawet ktoś, kto na wylot zna, powiedzmy, dzieje Wawrzyńca Wspaniałego czy tego kapitalnego łobuza Benvenuto Celliniego, będzie z przyjemnością oglądał inteligentnie zgromadzo- ne w tym dziełku obrazki związane z epoką. I można tylko westchnąć,

że nikt nie wpada na pomysł, by podobny pomocnik wystawić u nas rodzimemu renesansowi (tu można wpisać dowolny okres naszych dziejów), bo do uniwersalnych zestawień przebić się nam, maluczkim, trudno, a przecież i u nas ciekawych „umysłów”, które coś tam ukształto- wały, choćby w skali lokalnej, nigdy nie brakowało.



\*\*\*\*  
Robert C. Davis, Beth Lindsmith „Ludzie renesansu”, przeł. Aleksandra Górską, Rebis, Poznań 2012, s. 336, 119 zł

## Jest życie na Księżycu!

Księżyc znów łaskawy dla Francuzów z Air

Muzycy francuskiego duetu Air raczej nie zastanawiali się, kiedy to właśnie ich poproszono o napisanie współczesnej ścieżki dźwiękowej do orestaurowanej wersji świętującej 110. rocznicę powstania „Podróży na Księżyc”, pionierskiego dla kina science fiction niemieckiego klasyka autorstwa Georges'a Meliesa. Raz – że prestiż. Dwa – do Księżycy akurat panowie Godin i Duncel mają dużą słabość. To przecież ich albumy debiut z Księżycem w tytule, wydane w 1998 r. genialne „Moon Safari”, na lata zrobił z Air główny muzyczny towar eksportowy z Francji. Ten zbiór tematów inspirowanych dziełem Meliesa dawnych fanów wprowadzie na nowo w nich nie rozkocha, jednak trzeba przyznać, że grupa jest w formie. Z założenia niepiosenkowi tym razem (z dwoma wyjątkami, w tym kapitalnym „Seven Stars” zaśpiewanym przez Victorię Legrand z Beach House) stawiają na instrumentalne miniatury zawieszane między odrealnionym filmowym klimatem a brzmieniami retro czerpiącymi z lat 70., ze szczególnym wskazaniem na psychodelię i rock progresywny z tamtych czasów. Czyli jak zawsze pokręcając nosem znużeni ostatnimi dokonaniem Francuzów. Owszem, ale ze znanych elementów Air wreszcie znów złożyli coś całkiem świeżego i ciekawego.

BARTEK WINCZEWSKI



★★★★★

Air,  
„Le Voyage Dans La Lune”,  
Virgin

## Dziewczyna szamana

Tak właśnie brzmi na swojej trzeciej płycie, choć jej powstanie Sharon Van Etten zawdzięcza sobie – nie czarnej magii

Gwoli sprawiedliwości – nad „Tramp” pracowali również producent The National, Aaron Dressner, jego brat bliźniak Bryce z tego zespołu, poetessa i wokalistka z Brooklynu Julianna Barwick, Matt Barick z The Walkmen oraz Zach Condon z Beirutu.

Szczególnie tego ostatniego wiele łączy z eteryczną Van Etten. Oboje mają fobię społeczną – nie znoszą tłumów, zatłoczonych miejsc. Oboje lubią śpiewać o niespełnionej miłości. I oboje robią to tak, jakby mieli wywrwać sobie narządy, zdeptać je, wyprasować i na powrót włożyć do środka (jak na „We Are Fine”). Tyle że Sharon, by nagrać album pod wielce mylącym tytułem „Tramp” (bezdomy), przeszła dużo dłuższą drogę niż Zach. Jej pierwszym etapem była wyszeptana „Because I Was in Love” (2009).

Zawieszona na pojedynczych akordach gitarowych piosenki powstawały, gdy Sharon była zakochana w niewłaściwym facecie. Rzuciła go i zapytała Tennessee dla No-

wego Jorku i tak powstał minialbum „Epic”. Wówczas już pozwoliła perkusiście i gitarzyście wejść ze sobą do studia. Na „Tramp” znalazł się tam wraz z nią duży zespół.

„Muzyka to moja terapia” – mówi Sharon w wywiadach. Chociaż wszyscy artyści do znużenia powtarzają to dziennikarzom, akurat jej możecie wierzyć. Niektóre wersy brzmią właśnie tak, jakby były pisane wbrew jej woli („nie udaje mi się”, „nie udaje mi się kochać”, „nie udaje mi się kochać ciebie” – śpiewa w „Leonard”). „Tramp” jest jak niekończąca się sesja terapeutyczna – Van Etten zadaje sobie ból i podsyca go. Pewnie jeszcze nie wybaczyła tamtemu gościowi z Tennessee. Ale tym lepiej dla niej i dla nas – bo niewiele prostszych i bardziej poruszających piosenek o miłości usłyszymy w tym roku. No, może do momentu, aż The xx wydadzą swoją drugą płytę.

ANNA GROMNICKA



★★★★★

Sharon Van Etten,  
„Tramp”,  
Isound Labels 2012

## Mężczyzna na skraju załamania nerwowego

Lider Of Montreal znów pierze publicznie swoje rodzinne brudy

Trudno powiedzieć, jakie substancje ostatnio przyjmował Kevin Barnes i czy na pewno przepisał mu je lekarz. Można się też głowić nad tym, jakie może mieć problemy w domu i co doradził mu psychoterapeuta. W każdym razie album „Paralytic Stalks” nie pozostawia wątpliwości, że z liderem Of Montreal znów coś jest nie tak. W „Spiteful Intervention” hysterycznie śpiewa o tym, jaką satysfakcję daje mu doprowadzanie żony do łez i jak jest to potrzebne w ich związku, a zaraz potem w „We Will Commit Wolf Murder” wyznaję egzaltowanym głosem, że kocha ją na zabój. Nie oszczędza też swoich rodziców – w „Ye Renew the Plaintiff” wymina im, że rodzina po stronie matki i ojca zawsze była niestabilna emocjonalnie. A im bardziej zagłębia się w swoje problemy, tym utwory stają się dłuższe i złote, a słodkie melodie w stylu Bee Bees nabierają ciężaru i dramaturgii jak u Pendereckiego. Oby ta terapia zakończyła się pomyślnie nie tylko dla słuchaczy.

JACEK SKOLIMOWSKI



★★★★

Of Montreal,  
„Paralytic Stalks”,  
Polyvinyl

## Muzyka użytkowa

Ostatni raz mieliśmy okazję słuchać go latem w Warszawie. Zimą muzyka norweskiego pianisty brzmi jednak znacznie lepiej

Jeśli martwicie się, że nie przeżyjecie lutego bez spokojnej muzyki Leszka Możdżera i nastrojowej jazzu Marcina Wasilewskiego, to cała nadzieja w pianście Tordzie Gustavsenie. Wychowanek wytwórni ECM chyba od początku miał zapisane w kontrakcie, że nie będzie grał na płytach zbyt głośno, nie będzie naciskał zbyt wielu klawiszy fortepianu i nie będzie pośpieszał swojego zespołu. I nawet po dołączeniu do jego tria saksofonisty te zasady gry na „The Well” wciąż obowiązują. Ta płyta zupełnie nie angażuje uwagi słuchacza, może towarzyszyć przy kolacji z winem albo popijaniu herbaty i czytaniu książki w łóżku. Można ją w każdym momencie włączyć, wyłączyć i na pewno niczego się nie przegapi. Czasem Gustavsen próbuje wyprowadzić w utworach liryczny temat („Circling”), czasem ogranicza się tylko do stworzenia klimatu („Intuition”), ale zazwyczaj i tak woli ciągnąć swoje solówki bez końca („Playing”). Może miała to być muzyka poważna, ale znów wyjarzy się bardziej z muzyką użytkową.

JACEK SKOLIMOWSKI



★★★

Tord Gustavsen Quartet,  
„The Well”,  
ECM/Universal

## Zagłada domu Westonów

„Sierpień” w warszawskim Studio to triumf teatru opowieści



JACEK WAKAR

Niedawno Jacek Głomb, reżyser i dyrektor legnickiego Teatru im. H. Modrzejewskiej, doprowadził środowisko jeśli nie do wrzenia, to przynajmniej do małego bulgotu, ogłaszając „manifest kontrewolucyjny”. Przeciwnicy próbowali go wyśmiać, mówiąc, że w owych postulatych chodzi li tylko o to, by przedstawienia miały początek, środek i zakończenie. Głomb niezrażony twierdził, że opowiada się za teatrem opowieści, a przeciw wszechobecnym dekompozycjom, kolażom, performance'om i – kolokwialnie mówiąc – jajom zastępującym prowadzoną na serio rozmowę. Głomb zyskał właśnie kolejnego poplecznika. „Sierpień” Tracy'ego Lettsa wyreżyserowany w warszawskim Studio przez Grzegorza Brała dowodzi, że teatr opowieści ma się doskonale.

Sztuka Lettsa, który jako aktor poznał na wylot sceniczne prawidła, święci triumfy jak świat długi i szeroki. Przez dwa lata grano ją przy kompletach na Broadwayu, zgarnęła pięć nagród Tony (odpowiednik Oscara), a swemu autorowi przyniosła Pulitzera. W Polsce zagrano ją dotąd dwukrotnie – w Łodzi i Zabrzu. Spektakl Brała to najlepsza rzecz, jaka powstała w Studio od dobrych kilku lat.

Dla wszystkich, którzy znają klasykę amerykańskiej dramaturgii xx w., „Sierpień” zabrzmi znajomo. Taki utwór mogliby napisać, gdyby urodzili się kilka dekad później, Arthur Miller, Tennessee Williams, a przede wszystkim Eugene O'Neill. Trzypokoleniowa rodzina Westonów spotyka się na pogrzebie ojca rodu, zapitego tyrana i niedoszłego poety Beverly'ego (pojawiający się tylko w projekcjach Jerzy Trela). Decydujący głos należy do kobiet. Matka (Teresa Budzisz-Krzyżanowska) garściami bierze leki i terroryzuje swe dorosłe córki. Te zaś – grane przez Ewę Błaszczuk, Edytę Jungowską i Joannę Trzepiecińską – pod pozorami szczęśliwego życia skrywają niezagojone rany. Ranią się tu zresztą wszyscy – z powodu charakteru, w imię swoiście pojmwanej mizan-

tropii albo chcąc narzucić rodzinie pozór ładu. Nic z tego. Letts, a za nim Brał, portretują ludzi, których życia pękają na naszych oczach. Niczego potem nie da się posklejać. Nie będzie szczęśliwego zakończenia.

Są w tym dramacie nawiązania do amerykańskich poetów oraz (wzorem O'Neill) jest fatum jak w antycznych tragediach, są świetne dialogi i czytelne kulminacje. Ogląda się to z zapartym tchem, bo gromadzą tzw. gwiazdorską obsadę Brał przywrócił w Studio ducha teatralnego zespołu. Wystarczy spojrzeć, jak Budzisz-Krzyżanowska, Błaszczuk, Jungowska, Trzepiecińska, Małgorzata Różniatowska się słuchają, jak reaguja nawzajem na swe emocje. Rzadkie, szlachetne partnerowanie. Wieczór w Studio ma jednak dla mnie dwie bohaterki. Teresa Budzisz-Krzyżanowska po latach dostała wreszcie rolę na swoją miarę. Jej Violet ma w sobie siłę kobiet antyku, ale przegrywa z rozpadem własnej osobowości. Budzisz-Krzyżanowska na początku gra to delikatnie, w kulminacjach niemal rozsądza scenę. Wielka rola. Joanna Trzepiecińska natomiast została obsadzona wbrew warunkom. I krok po kroku pokazuje ogromny wysiłek Ivy, by wyrwać się z kokonu rodziny, który jest więzieniem. Trzepiecińska daje swej bohaterce piękną determinację i przejmującą rozpacz. Inne aktorki, z Ewą Błaszczuk na czele (panowie są na drugim planie), też zresztą nie porzostają na ukazaniu jednej strony osobowości swych postaci.

„Sierpień” nie da się zatem zbyć frazesem o zwyczajnie tradycji i rzemiosła. Wolę mówić o powrocie opowieści. A skoro stoi za nią zaprawiony w eksperymentach Grzegorz Brał, Jacek Głomb musiał wyczuć pismo nosem.

★★★★★

„Sierpień” Tracy'ego Lettsa,  
przekład Klaudyna Rozhin, reżyseria Grzegorz Brał,  
muzyka Guy Pearson, scenografia Paulina Czernek.  
Teatr Studio, w Warszawie



## Niezidentyfikowane obiekty ludzkie

W bydgoskiej „Burzy” Mai Kleczewskiej są sny, ale Szekspira tylko ślad

Teatr Polski w Bydgoszczy poprosił swoich widzów o to, by podzielił się z realizatorami swymi snami. Kilka z nich można odnaleźć w przedstawieniu. Maja Kleczewska zaproponowała swym aktorom pracę według metody tzw. ustawięń systemowych opracowanej przez psychologa Berta Hellingera. Domyślam się, że chodziło o to, by dramat Szekspira stał się tylko zastępczym spektaklem, zaledwie punktem orientacyjnym, busolą konieczną, aby się nie pogubić w gąszczu skojarzeń.

Niewykluczone, że dla bydgoskich aktorów i samej Kleczewskiej „Burza” jest przedstawieniem granicznym, być może oglądamy w nim odpryski ich prawdziwych przeżyć. Kleczewska od lat nie wystarczał tradycyjny teatr, próbowała rozszerzać jego gatunkowe granice, szukać punktów wspólnych najczęściej z operą. Paradoks, że jednego z najwspanialszych napisanych dla sceny tekstów używa po to, by sformułować wyznanie

niewiary w teatr. Gdyby siedł za nim ekwiwalent „Burzy”, łatwiej byłoby się z tym zgodzić. Ale nie. Na zgliszczach dramatu buduje Maja Kleczewska mętne studium rodzącej się między bohaterami przemocy, wzajemnego strachu i osaczenia. Prospero (Michał Jarmicki) jest otyłym satrapą, chodzi w szlafroku i nigdy nie miał żadnej mocy. Kaliban Michała Czachora trawi czas, grając na Play-Station. Ariel Karoliny Adamczyk ma w sobie tylko udręczenie. Najciekawiej wypada Marta Nieradkiewicz jako Miranda – wściekła, łaknąca kontaktu, nieokielzdana.

Jednak to za mało. Kleczewska zrobiła szkic do spektaklu o sile ludzkich instynktów, czasem nawet nieświadomych. O tym, że jesteśmy w ich władzy. Strzępy Szekspira słychać z rzadka. Są za to rozwalone wyro Prospera, obmywająca aktorów woda, przemoc, która jedynie przemoc udaje, imitacja erotyki. Najlepsze przedstawienia Kleczewskiej, jak opolski „Makbet”, war-

★★

„Burza” według Williama Szekspira, reżyseria Maja Kleczewska, scenografia Katarzyna Borkowska, muzyka Piotr Bukowski, dramaturgia Łukasz Chotkowski. Teatr Polski w Bydgoszczy



## Ład i porządek

Fotografowała francuską biedotę, zamkniętych w getcie, powstanie w Marsylii, pogrom w Kielcach. I prawie nikt o niej nie słyszał, bo swoje zdjęcia Julia Pirotte na lata schowała w szufladach. W końcu można je zobaczyć



Powstańcy marsylscy (1944 r.)

### KATARZYNA CZARNECKA

Musi być ład. Musi być porządek. W pięcioletnich od kawałków życia tekturowych teczkach. W pustoszejących po innych, tych skazanych na zniszczenie, szufladach. Ład. Porządek. Żeby ktoś, kto po to przyjdzie, miał dostęp wyłącznie do rzeczy wybranych. Żeby niczego nie musiał szukać. A tylko kiedy jest ład i porządek, nie ma takiej potrzeby.

Julia Pirotte z domu Diament zagnała się z życiem, tworząc ze swojego mieszkania w Warszawie niemal archiwum. Przyszło jej to robić w samotności, ale dawała sobie radę. Także dlatego, że najważniejsze rzeczy załatwiła wcześniej. Sześć tysięcy negatywów i 670 odbitek spoczywało już bezpiecznie w Muzeum Fotografii w Charleroi. A 400 fotografii, książki, dokumenty oraz wiersze polskich i żydowskich poetów zdecydowała się oddać Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu. Dzięki temu 12 lat po śmierci doczekała się retrospektywnej wystawy w Polsce.

### Koza, czyli szpieg

Nie była pokorna. Nawet wówczas, kiedy groziły za to poważne konsekwencje. Choćby takie, jakich doświadczyła jako 18-latką: za bycie w Komunistycznej Partii Polski trafiła do więzienia.

– Była komunistką, ale co to wtedy znaczyło? – zastanawia się Teresa Śmiechowska, kuratorka wystawy w ŻIH. – Chyba po prostu: „chcę być po stronie biednych”.

Sama była biedna. Urodziła się w 1907 r. Końskowoli koło Puław. Kiedy miała dziewięć lat, brat Majer 11, a siostra Mindla sześć, zmarła ich matka, Sara. Ojciec wkrótce ożenił się ponownie, ale... „Nasza przybrana matka była złą macochą, chodziliśmy niedożywni” – wspomina Julia. W niezgodzie na głód i brak perspektyw młodzi Diamentowie byli zgodni. I nic nie mogło zmienić ich poglądów. Nawet dwuletni wyrok dla młodszej siostry i czteroletni dla Julii.

W końcu uznali, że w Polsce nie jest bezpiecznie. Majer uciekł do Moskwy, a Mindla do Paryża, gdzie miała do niej dołączyć Julia. Ale choroba za-

trzymała ją w Brukseli. Tam w 1935 r. zaczął się drugi etap jej życia.

Wyszła za mąż. Jean Pirotte dał jej obywatelstwo i nazwisko odpowiednio na drogę, na którą wkrótce wkroczyła. W latach 1938–1940 została kursantką szkoły dziennikarstwa i fotografii. W 1939 r. agencja Foto Waro wysłała ją na reportaż na Litwę, Łotwę i do Estonii. „1 września spotkałam grupę chłopek, które czytały gazety” – opowiada. „W ten sposób dowiedziałam się, że wybuchła wojna”.

Niełatwo jej było wrócić do Brukseli. Musiała jechać przez Niemcy. Tam zrozumiała, że „nazistom udało się zmienić całą ludność w fanatyków”. Kiedy więc osiem miesięcy później wojska Hitlera wkroczyły do Belgii, dołączyła do tysięcy uchodźców. Znowu sama – Jean poszedł do wojska i więcej się nie spotkali.

28 maja 1940 r. Belgia skapitulowała, a Julia, która była już pod Marsylią, o mało nie straciła życia. Chciała zrobić zdjęcie kobiecie z kozą. Ale tłumek gapiów zaczął krzyżeć: „Szpieg, szpieg, obciąż jej włosy!”. Kiedy tłumaczyła, że jest z Belgii – nie wiedząc, że to już wrogi kraj – prawie doszło do linczu. W porę pojawił się żandarm. Ta przygoda zmieniła Julię: „Uświadomiła mi, że kamera fotograficzna jest groźną bronią. Leica stała się moim narzędziem walki”.

Walka uzbrojonej w aparat dziewczyny sprawiła, że można dziś zobaczyć twarze uczestników powstania w Marsylii. Albo najbardziej niebezpiecznych mieszkańców miasta. Albo kobiet i dzieci żydowskich z obozu w Bompard, które potem zginęły w Auschwitz. – W tych jej pracach zapis wydarzeń o znaczeniu przełomowym miesza się z dokumentacją życia codziennego, które trudno przecież uznać za normalne – mówi Śmiechowska. – Ona patrzy na ludzi z niezwykłą uwagą i czułością.

Te zdjęcia przyniosły Pirotte sławę na Zachodzie. Gdyby nie posłuchała głosu serca, pewnie inaczej potoczyłaby się jej zawodowa kariera. Ale ona była Żydówką z Polski. Kraju, który właśnie rozpoczynał swój – tak wymarzony przez nią – szczęśliwy komunistyczny byt. Jakżeby więc Julia z domu Diament mogła zostać we Francji?

### Bez broni, czyli milczenie

Okazało się, że nie miała do kogo wracać. Jej (może zła, ale jednak) macocha i ojciec prowadzący mały sklepik w Końskowoli zginęli w obozie. Mindla, jej piękna siostra walcząca w ruchu oporu w Paryżu, została 24 sierpnia 1944 r. ścięta we Wrocławiu na gilotynie. Majer, jej przystojny brat, dzielnie budujący w Moskwie nowy świat, stał się ofiarą stalinowskich czystek i w 1943 r. umarł na tyfus w łagrze.

Dorobek Julii nie miał znaczenia. Wyszło na to, że jakieś pieniądze i dach na głowę może jej zapewnić tylko Wojskowa Agencja Fotograficzna. Okazało się też, że bycie Żydówką w Polsce wciąż niebezpieczna sprawa.

W lipcu 1946 r. usłyszała krzyki kobiet: „Ludzie, Żydzi mordują polskie dzieci”. Od człowieka o potamanych rękach i poranionej głowie dowiedziała się: „Byłem trzy lata w Oświęcimiu [...]. Ale tu było straszniej”. Zobaczyła nagie trupy 42 mężczyzn, kobiet i dzieci. Fotografowała na polecenie „Żołnierza Polskiego”. Napisała: „Przepraszam za słabe technicznie wykonanie zdjęć. Ukradziono mi trzy filmy Leiki (118 negatywów). Z małych próbek zrobiłam nowe negatywy. Jak mi się wydaje, byłam tu jedynym dziennikarzem i fotoreporterem”. Ukradziono, czyli skonfiskowano. Bo „tu”, znaczyło w Kielcach, podczas najkrwawszego wojennego pogromu Żydów.

Te zdania to jedne z nielicznych zapisów, z których można wyczytać emocje Julii. „Powtarza się opinia o jej niesłychanej skrytości, powściągliwości” – pisze poetka Krystyna Dąbrowska. Być może zdołała się bardziej otworzyć przed drugim mężem, którego poznała w 1958 r., kiedy wrócił do Polski po 21 latach łagrów. Ale Jerzymu Sokolskiemu dane było z nią przeżyć tylko 16 lat.

Po Kielcach robiła jeszcze zdjęcia. Odbudowującej się Warszawy (jedno z nich – „Nowy Człowiek lub Moc Robotnika” – stało się podstawą do napisania powieści „Wielki człowiek do posądzenia o uprwanie formalizmu w sztuce” Pabla Picassa czy zamyślonego Juliana Tuwima – gości Światowego Kongresu Intelktualistów w Obronie Pokoju w 1948 r. Mieszkańców kibuc-



Autoportret Julii Pirotte (1942 r.)

ku w 1957 r. Wnuczki Anny Kamińskiej, Ruty, pod koniec lat 70. Ale to właściwie wszystko.

Moje fotografie przeleżały w szafach ponad 30 lat. Donier w 1979 r. wystawił je na wystawę we Francji” – pisze. Miała później kameralne prezentacje w Belgii, Anglii, Szwecji i USA. No i w Polsce (kilka jej zdjęć pojawiło się też w 2008 r. w Zachęcie, na wystawie „Dokumentalistki”). Próbowała zaważać o uznanie w kraju, ale Związek Polskich Artystów Fotografików nie przyjął jej w swoje szeregi.

Złożyła więc swoją broń – Leikę. Kim się czuła, kiedy przed śmiercią wprowadzała w swoim mieszkaniu ład i porządek? Romantyczną komunistką czy bezideowcem? Polską Żydówką, Belgijką, a może Francuzką? Artystką portretującą twarze i dłonie czy fotografką dokumentującą wstrząsające wydarzenia? Trudno powiedzieć.

Urszula Fuks z działu dokumentacji fotograficznej, dzięki której staraniom część swojej spuścizny Julia przekazała ŻIH, mówi: – Przeszła o siebie walczyć. Po odmowie ZPAF była na to zbyt dumna. I miała zbyt wiele klasy.

Te klasy potwierdza wpisem internetowym jej krajanek z Końskowoli: „Myślę, że to nieprawda, że urządziła się w biednej żydowskiej rodzinie, biegła mówiła w kilku językach, zachowywała się jak dama”.

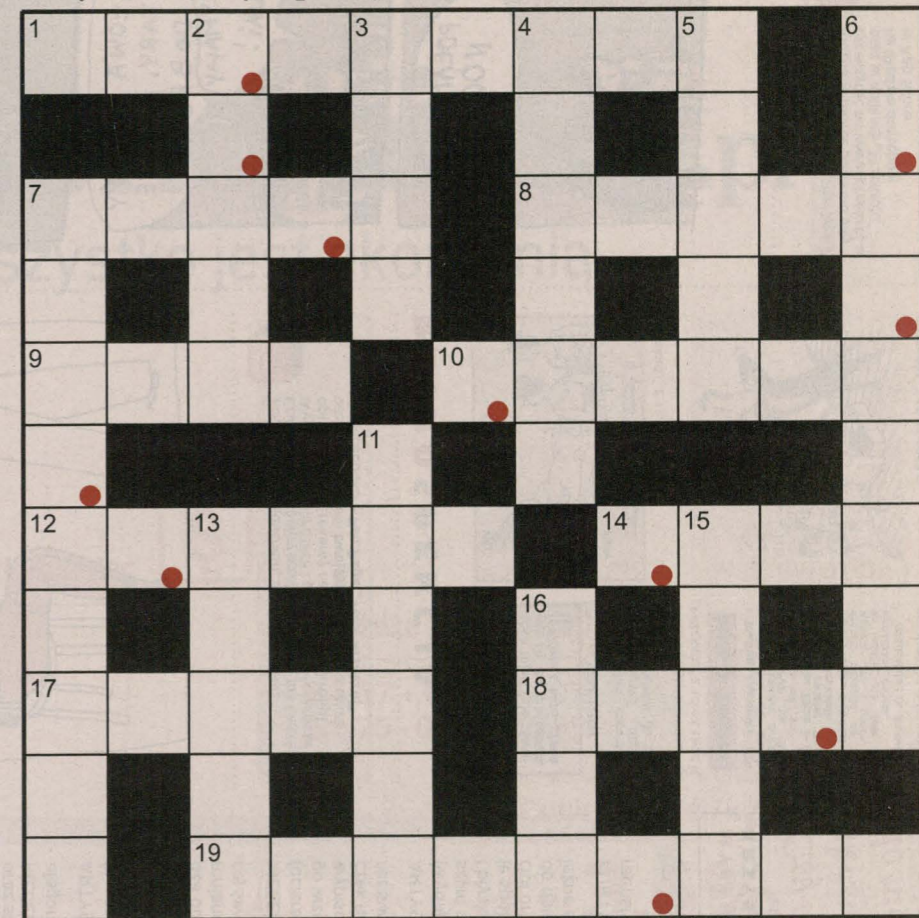
O swój wygląd dbała do końca. Apaszka, perfumy, makijaż – to było dla niej istotne. – Kiedy już słabo chodziła, jej opiekunka postarała się o wygodne buty – mówi Fuks. – Trudno to przeżyła.

„Jak ona mogła mi kupić coś takiego?” – Bo może życie sprawiło, że Julii Pirotte z domu Diament trudno było odpowiedzieć na pytanie, kim jest. Ale na pewno mogła stanowczo odmówić chodzenia – nawet po domu – w tenisówkach.

Julia Pirotte „Twarze i dłonie”, pierwsza ekspozycja w cyklu „Nowe Miejsce dla Sztuki na Plomackiem”, Żydowski Instytut Historyczny, ul. Plomackie 3/5, Warszawa, wernisaż 16 lutego, gości Światowego Kongresu Intelktualistów w Obronie Pokoju w 1948 r. Mieszkańców kibuc-

## KRZYŻÓWKA NR 7

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz rozwiązanie.



### POZIOMO:

1. WIERSZOKLEPA
7. ŁĄCZA GRUPĘ KRWIĄ
8. BRUKOWIEC
9. POTWÓR Z LOCH
10. I STYKA

### 12. PARA ATLETÓW

14. BARDZO SZTYWNE ŁĄCZE
17. PODRÓŻ ODPADA
18. TRZYMA ZDJĘCIE NA BIURKU
19. HUK ROBOTY

### PIONOWO:

2. RAZ NIERAZ
3. PRZYPUSZCZAŁBY
4. OD DESKI DO DESKI
5. ZROBIONA MASZYNKĄ
6. PODPOWIEDZ NA 9

### 7. PRZYCHODZI, GDY NIE

11. COŚ NA RZECZY
13. ROZCZAROWANIE PRACĄ
15. KRZYCZĄ NA NIĄ
16. NA WESELE I POGRZEB

Nagrodą w tym tygodniu jest książka Dariusza Oskroba „Doświadczyć horyzontu, czyli motocyklem przez świat”, www.zysk.com.pl



Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania krzyżówki i przesyłaj do nas hasło. Wyślij sms o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243.

Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 7”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 19 lutego 2012 r. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

## ROZWIĄZANIA Z NR. 5

### Krzyżówka: WYROCZNIA

#### POZIOMO:

1. MA MAMĘ I TATĘ – POTOMSTWO
7. PRACUJE W BANKU – RABUŚ
8. PICIE GUMY – UCISK
9. CHŁOPCY DO BICIA – GANG
10. NIJAKA PORAŻKA – FIASKO
12. LISTA PŁAĆ – CENNIK
14. BEZ PRZERWY – STYK
17. DO PRACY, RODACY! – ZAPAŁ
18. MIEJSCE SIEDZĄCE W WAGONIE – USTĘP
19. NA SEN – SPOCZYNEK

#### PIONOWO:

2. STADO, O KTÓRYM SIĘ NIE MÓWI – TABUN
3. ŁĄCZY SIĘ ZE ZŁOTEM I DEWIZAMI – MYŚL
4. IDZIE LA LUFĘ – TŁUMIK
5. W ŻŁOBIE LEŻY – OWIES
6. POWIĘKSZA JĄDRA – MIKROSKOP
7. PO OWCACH JĄ POZNACIE – ROGACIZNA
11. BIAŁE U MURZYNA – CIAŁKO
13. KRZYCZY NA ULICY – NAPIS
15. Z CHEMIĄ NA TY – TYTAN
16. ODSZEDŁ ZE SZMATĄ – KURZ

### LAUREACI Z NR. 4

Zofia i Michał Bajkowie, Białystok; Radosław Korzeniowski, Strzelce Krajeńskie; Marta Mirynowska, Jaszowska Góra; Danuta Ozubsko, Sanok; Ewa Pecold, Łódź; Julia Rzytki, Rybnik; Barbara Stawiak, Szczecin; Renata Szaruga, Wrocław; Magdalena Tarasiewicz, Warszawa; Sławomir Wojtyś, Dąbrowa Górnicza

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów oraz usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgadania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.





ZOOM-ZOOM  
ZOOM-ZOOM  
DZIEŁA SZTUKI  
JAPONSKIEJ  
WYPRZEDAŻ KOLEKCJI 2011



Mazda 3



Mazda 6



Mazda CX-7

Skorzystaj z wyjątkowej oferty finansowej oraz rabatów na zakup modeli z roku produkcji 2011. Wyprzedź innych i zostań koneserem niepowtarzalnej japońskiej sztuki użytkowej. Czekają na Ciebie Mazda 2, Mazda 3, Mazda 5, Mazda 6, Mazda CX-7 oraz Mazda MX-5. Takiej oferty jeszcze nie było. Zapraszamy do salonów! **Sprawdź japońską niezawodność podczas jazdy testowej.**

Zużycie paliwa w cyklu mieszanym oraz emisja CO<sub>2</sub> wynoszą odpowiednio w zależności od modelu i wersji: Mazda 3 od 4,3 do 7,6 l/100km, od 115 do 175 g/km. Mazda 6 od 5,2 do 8,1 l/100km, od 138 do 188 g/km. Mazda CX-7 od 7,5 do 10,4 l/100km, od 199 do 243 g/km.